ŚWIAT

1 ZŁ

Nr. 49

9 GRUDNIA 1933 ROKU



29 LISTOPADA W WARSZAWIE

Fot. „Światowid"

TREŚĆ:





— Czy to prawda, że przyjęłaś do służby moją dawną pokojówkę?
— Tak, ale nie lękaj się. Ja nawet w połowie nie wierzę temu, co ona o tobie opowiada.

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, SZPITALNA 12
ROK XXVIII • NR. 49 • DNIA 9-go GRUDNIA 1933 ROKU





Dyktatury nad Sekwaną

Na bulwarach paryskich lśnią tysiące świateł: reklamy, wystawy, samochodowe latarnie — tak jak dawniej, jasno, radośnie, kusząco. Teatry, kina, kabarety, kawiarnie są jak dawniej zapełnione, kipiące życiem - hałasem, życiem - pośpiechem, życiem - gwarem.

Dzisiejsze życie à la minute, życie z dnia na dzień, często bez jutra, prawie zawsze bez programu i planu, to życie dzierżawców rabunkowo gospodarujących, nie wiedzących, kiedy wybije godzina rozwiązania kontraktu. Tem życiem - gwarem pulsuje jeszcze na pozór radośnie Paryż bulwarów — ale w okolicy place de la Bourse hałas, pośpiech i pęd mają już inny charakter. Niepokój czai się w oczach — papiery skaczą — lecą w dół. Renta spada. Kapitały zaczynają emigrować, złoto też — a choć podziemia Banku Francji kryją jeszcze zapas 75 miljardów złotych franków, to jednak pod kolumnami Giełdy rośnie niepokój.

Od tych trosk nie jest wolny i inny na kolumnach wsparty gmach — gmach parlamentu.

Rządy padają — budżet nieuchwalony — gorzej: dyskusja nawet nierozpoczęta — Hitler proponuje i wszczyna rozmowy, a tu bezrządzie się przedłuża, komplikuje. Reakcjoniści, monarchiści krzyczą o kryzysie reżymu. Sekundują im w krytyce parlamentaryzmu żywioły tak umiarkowane, jak Tardieu! Kryzys reżymu, konstytucji — oto djagnoza na szpaltach niektórych pism francuskich coraz częstsza, djagnoza, którą z zadowoleniem podchwytuje się z tamtej strony Alp i w Niemczech.

Faszyzm włoski bez żalu konstatuje bezradność francuskiego parlamentaryzmu — tej głównej ostoi ideologji parlamentarnej, tej najsilniejszej barykady Zachodu, stojącej dotąd niewzruszenie wobec ideologji faszystowskiej.

Nic dziwnego, że niepokój Francji z placu Giełdy przenosi się na plac przed parlamentem. Nic dziwnego. Cztery rządy padły w ciągu 18 miesięcy. Deficyt rośnie — równowagi budżetowej nie można osiągnąć, a z sytuacji trudnych brnie się w coraz trudniejsze, docierając wreszcie do sytuacji niemal bez wyjścia.

Nic dziwnego, że kłopoty parlamentu rosną, gdy wzbiera niezadowolenie kraju, gdy wskutek *narzuconej, państwowej* ceny zboża, ustalonej na *minimum* 115 fr. za kwintal — zboża tego rolnik francuski wogóle sprzedać nie może.

Ta etatystyczna decyzja nie pozwala sprzedać taniej pod grozą kar. Więc młyny nie kupują, chłop klnie, buntuje się, zwozi wory zboża do urzędów podatkowych. Sto wieców protestacyjnych chłopskich odbywa się ostatniej niedzieli — sto wieców przemilczanych przez prasę wielkobulwarową.

* * *

Niezadowolenie, niepokój rosną we Francji i kraj cały oczekuje czynu, który go przed bezładem uchroni.

Francja wielokrotnie już przechodziła podobne wstrząsy wewnętrzne. Ostatni równie silny miał miejsce w roku 1926. Wtedy to Poincaré przez stworzenie rządu Unji Narodowej swym autorytetem poskromił brykanie partji i konwentykli — uratował franka,

zahamował inflację, wydobył przez zjednoczenie wszystkie siły i walory narodowe, wzmógł karność obywateli oraz odpowiedzialność parlamentu — i wyprowadził na spokojne wody rozhuśtaną na falach paniki inflacyjnej fregatę Trzeciej Republiki.

Sytuacja dzisiejsza jest o tyle trudniejsza, iż narazie męża stanu posiadającego ówczesny autorytet Poincarégo — nie widać. Czy to będzie Herriot, Daladier, Tardieu, Flandin czy Caillaux — wszyscy oni mają w opinji tyle „ale", że nawet ci, co chcieliby we Francji dyktatury, powierzyć jej w ręce tych polityków nie pragną.

Ówczesny osobisty autorytet Poincaré'go dziś wskutek jego osłabienia chorobą jest już przekreślony, autorytet parlamentu poderwany — a żaden inny nie wyrósł. Rzecz jasna, że ten głód autorytetu potęguje obawy i niepokój. Rodzą się pomysły najfantastyczniejsze, mnożą ataki na rządy i na parlamentaryzm.

A tymczasem — *właśnie obecne rządy Francji były antyparlamentarne i niekonstytucyjne.*

Bo zanalizujmy ten okres 18-tu miesięcy — kto rządy sprawował?

Paul Boncour — Daladier — Bonnet i t. p.

Daladier — Paul Boncour — Bonnet — Sarraut, Chautemps itp.

Sarraut — Daladier — Paul Boncour — Bonnet — Chautemps i t. p.

Chautemps — Daladier — Bonnet — Sarraut — Paul Boncour i t. p.

Wymieniam tylko najważniejsze teki ministerjalne.

Zmienia się premjer — ministrowie *przesiadają się.* Dziedzicznie tylko zasiedziali są Daladier (wojna), Paul Boncour (sprawy zagraniczne). Z maleńkiemi zmianami rządzą ci sami ludzie, ta sama partja, ten sam wypiek ministerjalny. Mimowoli przypomina się bajeczka Kryłowa, kiedy to czterej czworonodzy partnerzy zapragnęli stworzyć kwartet i kiedy na poskromienie dysonansów znajdowali jedyną radę... przesiadania się.

Skoro ta sama ekipa ministerjalna, z tego samego bloku partji stworzona, padała stale na tej samej kwestji budżetowej — to zgodnie z konstytucją i obyczajem parlamentu winni byli być powołani nie ci sami politycy, co padli — ale inni, inną doktrynę, inny polityczny obóz reprezentujący.

Tak jednak nie było. — Wracali ci sami, z tych samych partji, którym parlament uchwalał votum nieufności i których obalał. Przeto w istocie rzeczy (a nie matematyki zakulisowej) — były to rządy antyparlamentarne.

W tym stanie rzeczy nie idea parlamentaryzmu dostawała cięgi, lecz autorytet obecnego parlamentu francuskiego, w sposób oportunistyczny dającego ją gwałcić, byle tylko nie dopuścić do utraty władzy (ciągle padającej) przez stronnictwa lewicowe.

Tego rodzaju polityka posłów lewicowych francuskich była i jest niewątpliwem podcinaniem gałęzi, na której się siedzi. Umieli oni tworzyć większość tylko na moment zjawienia się rządu przed parlamentem. Z woli dyktatury lewicy, dyktatury oprymującej zdrowy sens parlamentarny, powstaje już czwarty rząd francuski.

A skoro powstał — zderza się ze stokroć silniejszą dyktaturą — Dyktaturą biurokracji. Któż bowiem przeciwstawia się wszelkim zdrowym, oszczędnościowym poczynaniom parlamentu? Kto wytrąca posłom gałki, które mają rzucić za wnioskami stabilizacji i uzdrowienia budżetu? Dyktatura związków urzędniczych, związki nauczycieli, pocztowców, telegrafistów, kolejarzy — związki pracowników państwowych. Związki etatowo zabezpieczonych urzędników i.ie pozwalają, wiecują, protestują przeciw obniżkom. Wobec tej dyktatury personelu biurokratycznego chwieją się lewicowi parlamentarni dyktatorzy arytmetyczni — większość pryska — rządy padają.

Dwie istniejące — z tego samego lewicowego pnia wyrosłe — dyktatury francuskie godzą w system, godzą w tradycję parlamentarną Francji.

Nie jest to już tylko brak zdecydowanych mężów stanu, nie jest to tylko choroba parlamentu — to poprostu stan dyktatury związków pracowniczych.

Podobny stan przeżywała Francja w roku 1910. Clémenceau — wyrosły z lewicy — ukrócił ówczesną rodzącą się dyktaturę kolejarzy i pocztowców. Poincaré w 1926 r. zwyciężył podobne zakusy, ocalając finanse Francji. Wraz z ich zwycięstwami parlamentaryzm francuski tryumfował nad pomysłami dyktatur tej czy owej grupy.

Dziś również — jak Francja szeroka i długa — wzmaga się żądanie rządu zjednoczenia, unji narodowej. Jest to środek wskazywany jako ocalenie publiczne. O ile zwycięży ta idea koncentracji narodowej, wróci ład, wrócą metody, a z niemi zwycięstwo parlamentaryzmu.

O ile jednak zdrowy sens ulegnie — zwalczanie jednej dyktatury przez inną może wywoływać tylko wstrząsy, zamieszanie, niepokój. Chcemy wierzyć i wierzymy, że genjusz Francji — śpiący być może jeszcze na wybrzeżach Marny czy Sekwany—zbudzi się, by energicznie spokoju swej Marjanny bronić.

L. Chrzanowski

TYDZIEŃ ŚWIATA

Przeciw Molochowi państwowemu

(Wig.). „Kurjer Poranny" pod redakcją p. Wojciecha Stpiczyńskiego odzwierciadla bezwątpienia opinję sfer rządzących, nieskrępowaną względami oficjalności. Na podkreślenie tedy zasługuje artykuł, który ukazał się w nim z podpisem naczelnego redaktora, przestrzegający przed nazbyt pochopnem grzebaniem kapitalizmu i liberalizmu. Autor zupełnie wyraźnie przeciwstawia się idei Mussoliniego budowy „państwa całkowitego, t. zn. państwa, które wchłania w siebie wszelką energję, wszelkie interesy, wszelkie nadzieje narodu". Takie państwo — Moloch wcale p. Stpiczyńskiego nie zachwyca. Z całą słusznością przypomina on, że „państwo jest kreacją ducha narodu i że tylko w niem ma ono swoje fundamenty i źródła sił witalnych. Jeśli aspiracje ducha osłabną, instytucja państwa stanie się niezrozumiała, ilość wysiłków i ofiar, potrzebnych dla obrony jego istnienia, nieuzasadniona".

Od czasów starożytnych historja uczy, że państwa stoją i rosną tylko cnotą, miłością, szczęściem swych obywateli. Gdy ci tracą wolność i współodpowiedzialność za państwo — staczają się one w otchłań upadku.

Najmniejszą odporność wykazywały państwa policyjne, wszędobylskie, wszystko obejmujące, krępujące społeczeństwo na każdym kroku. Takie państwo, miast być opiekunem i regulatorem, staje się natrętem i hamulcem. „Postulat „państwa całkowitego" w interpretacji

ROZRUCHY UKRAIŃSKIE... W NEW-YORKU

Fot. Keystone



Zamieszkali w New Yorku uchodźcy ukraińscy urządzili manifestację uliczną, jako protest przeciwko rujnowaniu Ukrainy przez Sowiety. Doszło do starć z miejscowymi komunistami. Policja konna musiała zaprowadzić porządek

twórcy faszyzmu, dyskontując zbyt pośpiesznie psychologję stanu wyjątkowego, prowadzi to państwo do konfliktu z całkowitym obywatelem" — stwierdza p. Stpiczyński.

Diagnoza dzisiejszego stanu ludzkości postawiona została zupełnie trafnie. Powojenna „udręka materjalnych kłopotów wywarła głęboki wpływ na człowieka, pogrążyła go w depresji, skłoniła do rezygnowania ze wszystkiego, za obietnicę miski gorącej zupy i dachu nad głową. Lecz na psychologji głodu — pisze p. Stpiczyński — nie należy budować żadnych teoryj natury ogólnej. Jest to bowiem psychologja stanu wyjątkowego — przeminie ona wraz z nim".

Istotnie chwilowo — pod naporem konieczności życiowych, dla zaspokojenia elementarnych potrzeb — można godzić się na abdykacje ze swych praw, z wolności i godności ludzkiej, można podporządkowywać się różnym rygorom i nawet z radością stanąć w karnym szeregu gaszących pożar czy ratujących dobytek przed powodzią. Ale nie można tego zachowania się podczas nieszczęścia — w chwili wyjątkowo groźnej, przedłużać w nieskończoność i upatrywać w tem przeznaczenie czy obowiązek człowieka. Wcześniej czy później zorjentuje się on, że katastrofa minęła i czas powrócić do stosunków normalnych, a te oznaczają wolność jednostki i równość wszystkich wobec prawa.

Liberalizm można zawiesić; uśmiercić go niesposób...

Panta rei...

(k) W jednej z cel więzienia w Atenach wmurowano i uroczyście odsłonięto tablicę z następującym napisem:

„W tej oto celi dnia 28 listopada 1922 r. odczytany został wyrok sądu, na mocy którego skazani na śmierć i rozstrzelani za zbrodnię zdrady głównej zostali politycy: Gunaris, Petros Protoppadalis, Nikola Stratos, Nikola Treotokis, Baltazis i Hadzinaesti. Mężowie ci całe swoje życie poświęcili służbie dla ojczyzny, a rozstrzelani zostali jako zdrajcy kraju wbrew wszelkiemu prawu, wbrew konstytucji, wbrew wszelkim zasadom moralności. Niniejszą tablicę pamiątkową kazał tu przybić minister sprawiedliwości w roku 1933".

O sprawiedliwości ludzka! Jak rychło zmienne są twoje wyroki! Gdybyż jeszcze wskrzesić można było tych, których przed rokiem uważano za zbrodniarzy, zasługujących na karę śmierci, a obecnie oddaje się im cześć, jako — ofiarom zemsty!

Niestety! Honor można przywrócić. Życia — nie.

W Hiszpanji

(V.) Jak przewidywaliśmy na tem miejscu, ściślejsze wybory w Hiszpanji nie zmieniły zasadniczo pierwotnie osiągniętych wyników. Na 470 posłów prawica będzie rozporządzała przeszło 200 głosami, centrum 165—170, lewica osiągnie około 100. Jeśli się weźmie pod uwagę, że w Konstytuancie lewica sama posiadała bezwzględną większość, a prawica liczyła niespełna 20 głosów, przechylenie się hiszpańskiej opinji publicznej na prawo nastąpiło gwałtownie i zdecydowanie.

Nic tedy dziwnego, że ten raptowny zwrot wywołuje w nowej republice kwasy i niepokoje. Właściwi twórcy jej, zasiadający na lewicy, nie chcą pogodzić się z klę-



Ożywiona agitacja na ulicach Madrytu w dniu wyborów do Kortezów

ską i rzucają fantastyczne projekty odzyskania władzy. Jedni proponują unieważnienie wyborów i zarządzenie nowego głosowania; drudzy chcą ponownie zwołać rozwiązaną Konstytuantę, wreszcie jeszcze inni wprost nawołują do zamachu stanu i rewolucji.

Tylko lekkomyślność i niedojrzałość polityczna może dyktować tego rodzaju środki. Lekarstwo okazałoby się bardziej niebezpieczne od urojonej choroby. Wyjście szczerych republikanów poza ramy prawa i konstytucji, którą sami uchwalili i zaprzysięgli, upoważniłoby jawnych czy ukrytych monarchistów do podjęcia nowej próby restauracji obalonej dynastji. Faszyści i tam się mustrują. Nie próżnowałyby też skrajne żywioły komunistyczne, syndykalistyczne, anarchistyczne, których w Hiszpanji nigdy nie brak. Zakotłowałoby się za Pirenejami nie gorzej, niż na pokrewnej Kubie.

Rząd widać obawia się tego, bo ogłosił stan wyjątkowy; zasekwestrowano całą broń i amunicję, znajdującą się w handlu, postawiono na nogi policję i wojsko. Może lewica republikańska opamięta się i uzna, że rola opozycji jest nieraz korzystniejsza i nie mniej zaszczytna od sprawowania rządów. Może uspokoją się urażone ambicje i zdrowy rozsądek weźmie górę nad namiętnościami. Rwanie się do władzy za wszelką cenę i wbrew oczywistym przeszkodom faktycznym i prawnym nigdy lewicowcom na dobre nie wyszło.

Z dzisiejszego układu sił w Kortezach wynika, że rząd prawdopodobnie utworzą trzy czynniki: radykali p. Lerroux, agrarjusze p. Roys Villanova, wroga separatyzmu katalońskiego i innych prowincjonalizmów, oraz katoliccy ludowcy p. Gil Roblesa. Da to wespół z pokrewnemi drobnemi grupkami 300 do 320 głosów, czyli silną i stałą większość. Trzon opozycji stanowić będą socjaliści, liczący ponad pół setki mandatów, oraz autonomiści z lewicą katalońską na czele; wokół nich zgrupują się resztki innych partji lewicowych, porzuconych przez wyborców. Na przeciwległem skrzydle nieprzejednane stanowisko zajmie kilkudziesięciu monarchistów.

Tak będzie w parlamencie. Co się stanie, gdy walka wyjdzie poza parlament — trudno przewidzieć.

Profanacja szpitala

(Old) Wiek XIX powołał do życia instytucję, którą może się chlubić ludzkość — Czerwony Krzyż. Międzynarodowe prawodawstwo orzeka, że budynki, urządzenia, sprzęty i ludzie, noszący ten znak, stają się nietykalni. Wyjęci są z pod niszczycielskiej akcji wojny. Kto tej zasady nie przestrzega — zyskuje miano barbarzyńcy. Ale i odwrotnie: oznaczone Czerwonym Krzyżem instytucje nie mogą—poza opieką nad rannymi i zmarłymi — brać udziału w działaniach wojennych. Gdyby pociągi sanitarne przewoziły amunicję, a szpitale służyły za miejsce urzędowania sztabów — byłoby to pogwałceniem moralności i układów, zawartych w imię humanitaryzmu.

Te zasady, przyjęte w wojnach międzypaństwowych, stosować też należy w wojnach domowych, w walkach wewnętrznych, prowadzonych przez rewolucyjne i przewrotowe organizacje. Kto ich nie uznaje, ten sam wyjmuje się z pod praw ludzkich i nie może liczyć na żadne względy.

Dlatego społeczeństwo nasze z takiem oburzeniem przyjęło wykrycie składu literatury komunistycznej w warszawskim szpitalu żydowskim. Przekroczono tu coś więcej, niż prawodawstwo państwowe; złamano etykę ogólnoludzką, pogwałcono moralność, nakazującą usunąć z pola walki politycznej domy chorych i cierpiących.

Komuniści tej zasady nie uszanowali. Co gorzej — złamała ją obsługa szpitalna, złamali ją nawet lekarze. Stąd poruszenie i oburzenie opinji. Nadużyto neutralnego, nietykalnego terenu dla walki, która choć nie odbywa się na szable i karabiny, jest walką zaciętą, bezwzględną, walką na śmierć i życie.

To zbrodnia już nie przeciwko prawom państwowym, które można zwalczać lub gwałcić, za co odpowiada się tylko przed sądami. To przekroczenie moralności zawodowej i ogólnej. Lekarze, którzy się tego czynu dopuścili, odpowiadać będą nietylko z paragrafów kodeksu karnego, lecz również z niepisanego kodeksu etyki ludzkiej.

Ale razem z nimi pociągnięci być muszą przed trybunał opinji publicznej ci, którzy nie zasiądą na ławie oskarżonych w sądach, pociągnięci być muszą winni niedozoru w powierzonej ich pieczy instytucji humanitarnej. Naczelny lekarz szpitala żydowskiego, dr. Antoni Goldman z pewnością nie jest komunistą i nic mu prokurator zarzucić nie może. Ale opinja publiczna zarzuca mu, że nie dawał dostatecznego baczenia na zakład, który mu podlegał, że dopuścił do niesłychanego skandalu. Nie można mieć zaufania do takiego kierownika. Musi on ustąpić, chociażby był doskonałym chirurgiem i wrogiem komunizmu.

Gdzieindziej bywa gorzej

(w) Obok aktorów, literatów i polityków do najpopularniejszych osobistości należą dziennikarze. To też wszelkie zatargi z władzami, jakie od czasu do czasu miewają przedstawiciele „szóstego mocarstwa", wywołują gorące protesty, stają się tematem interpelacji sejmowych, a czasowa utrata wolności przez dziennikarza zaliczana jest na Zachodzie do pogwałcenia „swobody słowa".

Brać dziennikarska zachodnia jest jednak uprzywilejowana w porównaniu ze swymi chińskimi kolegami. Niedawno najstarszy dziennik na świecie „Peging Gazette" obchodził tysiąclecie swego istnienia. Przy tej okazji ogłoszono ciekawą statystykę, dotyczącą „cierni i zawodów" fachu dziennikarskiego. W ciągu sześciu wieków ni mniej ni więcej tylko 1797 dziennikarzy chińskich zostało ściętych.

A my narzekamy na swoje sądy, cenzury i policję!

Moi towarzysze — myśliwi

(Z wrażeń i przeżyć łowieckich)

I.

Któryż z myśliwych nie odczuwa lekkiego, jak opar wieczorny, smętku, gdy polowanie dobiega kresu? Jaki kontrast z radosnym nastrojem poranka,—wyjazdowego zamętu, donośnych trąbek, zuchwałych nadziei! Ostatni miot, jak zwykle, nieco spóźniony. Wąska drożyna wśród wysokopiennego, niepodszytego lasu. Chłód staje się bardziej dojmujący. Blade niebo osnuwa się woalem. Wczesny zimowy mrok gęstnieje. A znużona i przemarznięta naganka marudzi...

Gdy ruszy wreszcie, zające migają jak cienie, ognie strzałów błyskają czerwonawem światłem... I powrót w melancholijnem przeświadczeniu, że coś minęło, przeszło, nie ziszczając pokładanych nadziei, lub spełniając je tylko w części. Ileż wspomnień wtedy tłoczy się do mózgu,—przeżytych wrażeń, i tych towarzyszów myśliwskiej zabawy, co już ziemski teren łowiecki na zawsze opuścili. Jakaż długa lista nazwisk! Pamięć wskrzesza drogie sercu postaci, w charakterystycznym ruchu, z właściwym giestem. Czym się przesłyszał? Zdawało mi się, że zawołano na mnie po imieniu. Nagły niepokój szarpnął aż do trzewi... Przymknąłem oczy, z trudem walczę z zagarniającą sennością. W półświadomości rysuje się mglista linja stanowisk. Niekończąca się szara dal... Na stanowiskach szare, nieruchome sylwety tych, z którymi tyle polowań odbyłem. Cisza... Bezmiar ciszy... Ostatnie stanowisko... Puste! Czyżby na mnie czekało?...

O mili przyjaciele i koledzy, którzy dzieliliście ze mną tak chętnie i przez tyle lat przygody i wzruszenia myśliwskie! Co porabiasz po tamtej stronie, panie Stachurski, stary, niepoprawny kłusowniku, któryś kierował mojemi pierwszemi krokami „na pomyka", — do kuropatw i do dzikich kaczek uczyłeś strzelać? Za młodu polowałeś w 63 roku pod Czachowskim na Moskala. Później skradałeś się nocami pod lasy motkowickie i chylickie, wypatrując, czy kozy nie wyjdą na pastwisko. A choćby i zajączek się trafił... Daremnie zasadzali się na ciebie gajowi i strażnicy, potrafiłeś im zawsze umknąć, bo żaden nie miał tak długich nóg, i żadna rewizja nie była w stanie wykryć twej powiązanej sznurkami, a jednak niezawodnej w strzale pojedynki... Św. Hubert wstawił się niechybnie za tobą i wyjednał ci łaskę, bo po za niepohamowaną namiętnością myśliwską godnym byłeś człowiekiem, hardą duszą szlachecką, do żadnych kompromisów z sumieniem niezdolną.

Nauczyłeś mię tyle, że swojem doświadczeniem już jako czternastoletni chłopiec mogłem imponować o 10 — 12 lat starszemu odemnie malarzowi, który z Monachjum przyjechał na lato do rodziców mego szwagra, pp. Łaszczów. Malarz ten nosił już wówczas dość znane nazwisko: Juljan Fałat. Temperament miał rzetelny, lecz niezawsze potrafił nad nim panować. Pamiętam pierwsze z nim polowanie; robiliśmy nagankę w niewysokich kulturach. Przed Fałatem, który stał obok mnie, kręcił się zając. Fałat strzelił, strzaskał kotu tylny skok, z drugiej lufy spudłował. Zając przysiadł. Fałat do niego. Zając na trzech nogach w krzaki. Fałat za nim.

— Kto chodzi w miocie?!... — Raubszyc! — Strzelać do raubszyca! Fałat, cokolwiek zaniepokojony, protestuje. — Nie strzelać! To ja. — Myśliwy nie rusza się ze stanowiska! Długo trwały te słowne utarczki, nie zawsze na poziomie



Z polowań w Młochowie, pod Grodziskiem. (Od lewej do prawej): Stanisław Lilpop, Czesław Hornowski, Jul. Herman, Franc. Ejsmond; (drugi rząd): Aleksander Kaszowski, Tadeusz Zaleski, Stefan Krzywoszewski, Henryk Lilpop, dr. Stankiewicz, Wład. Rabski, Stanisław Brun

salonowym. Aż wreszcie Fałat wyszedł z krzaków, skonfundowany i zmartwiony, bo zając przepadł mu w gąszczu. Przez parę tygodni po sąsiednich dworach opowiadano tę przygodę. Ale uczeń był pojętny i rychło prześcignął nauczycieli. W dziesięć lat potem, u szczytu sławy, uczestniczył już w słynnych łowach nieświeskich, które Antoni ks. Radziwiłł wyprawił dla niemieckiego następcy tronu, późniejszego Wilhelma II.

Długi łańcuch niezapomnianych przygód i zabaw myśliwskich zawdzięczałem drogiemu memu przyjacielowi, Juljuszowi Hermanowi, który w tym roku tak niespodziewanie doczesną wędrówkę zakończył. Pawłowice! Młochów! Osiecz! Sokolniki! Teresin! Rdzeń towarzystwa był zawsze ten sam: Władysław Rabski, Franciszek Ejsmond, Stanisław Lilpop, Józef Weyssenhoff, Herman i ja. Dorywczo bywali na tych polowaniach Henryk Sienkiewicz, ks. Zygmunt Chełmicki, Adam Breza, Michał Wywiórski, Zygmunt Bartkiewicz. Fałat mieszkał już w Berlinie, niebawem przeniósł się do Krakowa i raczej malował polowania, niż czynny brał w nich udział.

W Pawłowicach, pod Sochaczewem, u pp. Brzezińskich, gdzieśmy z Hermanem tyle namordowali zajęcy, kuropatw i bażantów, spotkało mię jedno z najprzykrzejszych przeżyć myśliwskich. Postrzeliłem Henryka Sienkiewicza.

Było to tak. Polowaliśmy w niefortunny dzień listopadowy. Deszcz nie przestawał mżyć od rana. Wracaliśmy z pola o wczesnym zmierzchu, ze słabszym niż zwykle wynikiem, zmoknięci, obłoceni. Mrok gęstniał przedwcześnie. Naganka w parku na bażanty małe dała rezultaty. Więc, zrezygnowani, szliśmy brzegiem rozległego trawnika ku dworowi, społem myśliwi i naganiacze. Sienkiewicz i ks. Chełmicki samorzutnie oddzielili się od gromady i poszli aleją, zamykającą peluzę z drugiej strony.

Wtem z pośrodka wyrywa się kogut. Rabski wyjął już ładunki, woła do mnie. — Strzelaj! Równocześnie widzę, że Ejsmond zmierza się. Strzelił. Bażant idzie. Walę do niego. Spada. W tej chwili z drugiej strony, o jakie ośmdziesiąt kroków od nas, krzyk. — Nie strzelać! — Nie strzelać! Rejwach rośnie. Biegniemy na przełaj. Ks. Chełmicki, bardzo zafrasowany, ociera chustką krew z twarzy Sienkiewicza. Jego służący, Andrzej, maca się po głowie, jakby zaniepokojony, czy sterczy jeszcze na właściwem miejscu.



Jesienne polowanie w Osieczu u Jana hr. Bnińskiego. (Od lewej do prawej): Rabski, Weyssenhoff, Fr. Ejsmond, Krzywoszewski, Herman

Okazało się, że kilka śrócin utkwiło Sienkiewiczowi tuż pod skórą na czole i w policzku. Skaleczenia były lekkie, lecz ze względu na osobę Sienkiewicza wywołały wielkie wrażenie.

Kto zawinił, Ejsmond czy ja, czy może obaj? Ejsmond zaparł się stanowczo, więc musiałem wziąć na siebie odium.

Wróciliśmy spiesznie do Warszawy, wyrzekając się obiadu. Humoru nie stracił tylko Sienkiewicz. Wyśmiewał nasze skwaszone miny, pocieszał mię tak przyjaźnie, iż wkońcu mogło się wydawać, że to nie jego, lecz mnie spotkał bolesny wypadek. Istotnie zresztą tak było. Ileż byłbym wolał, żeby to on mnie postrzelił, a nie ja jego!

W Omedze wyjęto śróciny, opatrzono ranki. Ks. Chełmicki odwiózł Sienkiewicza do domu. Ja nazajutrz dopiero odważyłem się pokazać na oczy p. Sienkiewiczowej, przedtem posławszy kwiaty. Wielkiego pisarza zastałem na kanapie, czytającego Horacego w starem, pięknem wydaniu. Otrzymałem wtedy dla „Świata" przekład jednej z ód.

Andrzeja, służącego ks. Chełmickiego, nie potrzebowałem odwiedzać. Sam zjawił się u mnie już nazajutrz, aby mię uspokoić, iż nie zagraża mu żadne poważniejsze niebezpieczeństwo, że „rany" leczą się pomyślnie. Przez dłuższy okres czasu, dbając o mój stan duchowy, meldował się co tydzień, a ja za dobre wiadomości dziękowałem mu drobnemi upominkami, które przyjmował chętnie i z godnością.

Stefan Krzywoszewski

(D. n.).

WYSTAWA RENOIR'A W PARYŻU

(Korespondencja własna „Świata")

Wystawa dzieł Renoir'a w Oranżerji parku Tuileries była odwiedzana i omawiana przez publiczność z niesłabnącem zainteresowaniem, które prawdopodobnie nie przejdzie nawet po jej zamknięciu. Znowu odezwały się liczne głosy uwielbienia i krytyki. Lecz zdaje się, że mimo tych ostatnich dopiero teraz dzieła mistrza otrzymają należytą ocenę.

Bez przesadnego zapału, lecz i bez zgóry powziętego uprzedzenia, chcemy wypowiedzieć zdanie, jakie nasunęło nam się przy oglądaniu 150-u zgromadzonych na wystawie obrazów. Ponieważ nie mamy tutaj całokształtu pracy i rozwoju talentu wielkiego malarza, gdyż z pośród 4-ech tys. jego dzieł dane nam było oglądać — zaledwie 150, a wśród nich brak może najbardziej charakterystycznych, jak np. „Sąd Parysa", „Klęcząca kobieta" i „Venus" — zmuszeni jesteśmy do specjalnie umiarkowanego sądu.

Stańmy więc przez chwilę z boku i spójrzmy na te obrazy niezależnie od wpływów rozmaitych szkół malarskich i narzuconych nam pojęć i kierunków. Rzuca się przedewszystkiem w oczy nieumiejętność traktowania przez Renoir'a pejzażu. Nadużywa jaskrawych, szorstkich tonów, lubuje się w barwach ostro-zielonych i farbkowato-niebieskich. Renoir nie znosi wielkich kompozycyj, sam zresztą to przyznaje. „Kompozycja — mówi — jest dla mnie rzeczą obcą i narzuconą. Jeszcze dzisiaj zmuszony jestem zadawać gwałt swej naturze, gdy przezwyciężam lenistwo i maluję obrazy kompozycyjne, a nie ograniczam się do główi torsów".

I to jest właśnie podstawą jego talentu. Renoir — to przedewszystkiem malarz płócien małych z jedną lub dwiema postaciami. Ruch ich jest uchwycony szczerze i naturalnie, ca stanowi rzadką zaletę w pracowniach paryskich. Weźmy choćby „Śniadanie". Nakryty stół. — Kobieta i mężczyzna.



Portret p. Charpentier



Portret dziewczynki

Ona naturalnym ruchem unosi w górę kieliszek, on zapala papierosa. Całość pełna życia i swobodnej codzienności. „Matka i dziecko" — to kompozycja odznaczająca się tym samym wdziękiem bezpośredniości. — Matka patrzy z miłością na dziecko, które ssie, bawiąc się jednocześnie wielkim palcem u nóżki.

W żadnym z tych obrazów model nie pozuje: postawa jego jest nawskroś swoista i codzienna. Cała zagadka naturalności kryje się w charakterze mistrza, którego prostota i skromność była szeroko znana. „Zawsze twierdziłem i twierdzić będę, że maluję tylko to, co inni malowali o wiele lepiej przedemną".

Kult Renoir'a dla dawnych mistrzów pendzla był tak wielki, że przed samą śmiercią jeszcze kazał się nosić do Luwru, aby podziwiać ich arcydzieła. „Ile ja się jeszcze muszę uczyć i pracować!" — mawiał wtedy.

Jego szczery stosunek do natury i do samego siebie sprawił, że Renoir tylko na chwilę uległ wpływom impresjonizmu, lecz nie zatrzymał się przy nim. Pociągnęło go wtedy uwielbienie plain-air'u, jakie cechowało impresjonistów. I oto on, malarz ciała ludzkiego — wyniósł swe stalugi pod gołe niebo, stosując się do nowych kanonów sztuki. Wkrótce jednak porzuca tę modę, odwracając się od niej z niechęcią. Wyjaśnia tego powody: „Przypominam sobie dzień, gdy malowałem w Bretanji, w jesieni, pod kopułą złotych liści kasztanów. Wszystkie barwy, jakie kładłem na płótno, były cudowne: mieniły się najgłębszemi tonami — od czerni do błękitu. Nie wiedziałem, że ten efekt wytworzyło słońce, które, przepuszczając swe złote promienie przez gęstwinę liści, — wyczarowywało na mojem płótnie te wszystkie niebiańskie kolory. Ale w jaskrawo-białem świetle mojej pracowni czarodziejska koronka zamieniła się w zwykłą zieleninę".

Odszedłszy od impresjonizmu, Renoir wpada pod wpływy Corot'a i Ingres'a, lecz i tu jest sobą. W głębi duszy Renoir pozostał zawsze terminatorem u wielkich mistrzów przeszłości. Potrafił wpadać w ekstazę przed „Fontanną niewiniątek", patrząc na cudowne linje nagich ciał. Z tego też uwielbienia dla piękna ciała ludzkiego wypłynęło jego zerwanie ze szkołą naturalistyczną, która wyeliminowała nagość, twierdząc, że koliduje ona z zasadą ścisłego przestrzegania naturalności. Renoir, oczywiście, nie mógł zgodzić się z tym poglądem, bo on cierpiał, malując tunikę tam, gdzie mógł namalować nagi tors lub ramię. Według naszego zdania jednak, mimo swego entuzjazmu — Renoir nie był mistrzem w tej dziedzinie. Jego akty były udałe raczej fragmentarycznie. Nie całość, ale jakiś szczegół uderzał doskonałością wykonania.

Dlaczego Renoir porzucił tę technikę solidną. Zdawało się, że Renoir zapomniał o swych poprzednich słowach o malarstwie: „Według mnie obraz powinien być miłym, radosnym, a przedewszystkiem ładnym. W życiu zadużo jest szpetoty, żeby ją sobie jeszcze sztucznie wytwarzać".

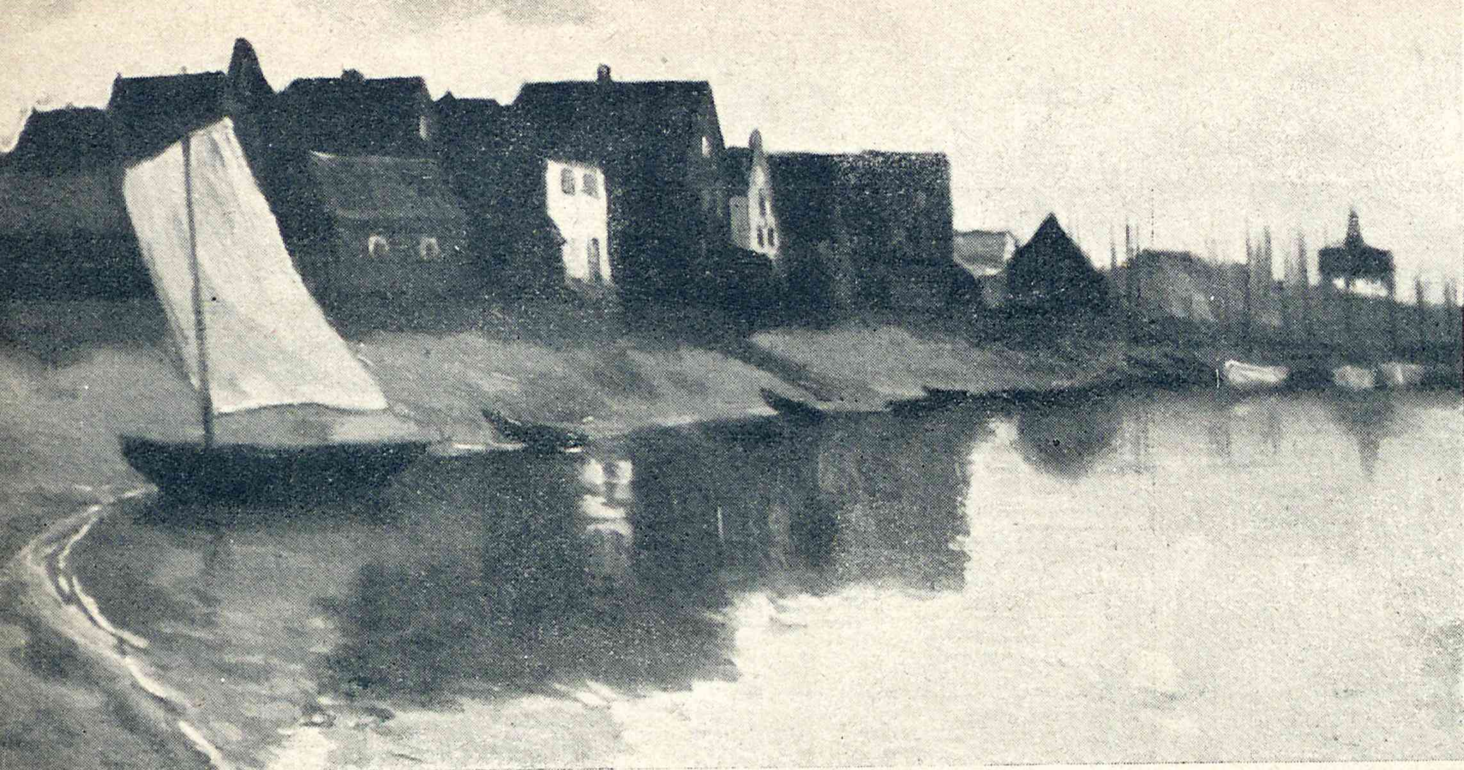
I nagle rozstał się z tą zasadą. Pod koniec ulubionym jego modelem była służąca, Gabrjela, kobieta wulgarna, o ciężkiej budowie i bezmyślnych oczach...

Pomimo swych błędów wszakże — Renoir zostanie zawsze malarzem pociągającym przez swą szczerość, prostotę i przez życie, które całkowicie poświęcił sztuce. („Nie przeżyłem ani jednego dnia bez malowania").

Znał wielkie powodzenia, klęski, wzloty i upadki, lecz cała jego twórczość i życie stać się powinny wzorem dla młodego pokolenia malarzy.

N. R.

Salon zimowy w „Zachęcie"



Ziomek Teodor Fot. Janczewska *„Port na Helu"*



Bielawski W. *„Powrót z miasta"*

Żukowski St. *„Zima"*



Reprezentacyjne wystawy, tak zwane Salony, są w całym świecie, a zatem i w Warszawie, sprawdzianem dążeń artystycznych i nurtów, przepływających przez sztukę, jeśli nie w całej jej objętości, to przynajmniej w znacznym odłamie.

Na gruncie warszawskim dwie istniejące instytucje artystyczne: „Zachęta" i „Instytut Propagandy Sztuki" nie wysunęły żadnych szczególnych postulatów, dla wystawców, nie podzieliły artystów na konserwatystów i nowatorów; w jednym i w drugim Salonie grupują się młodzi i starzy, te drobne zaś jakieś rywalizacje, istniejące między dwiema grupami: „Zachęciarzy" i „IPSowców", zniknęłyby bez śladu po pierwszym dymku z zapalonej fajki pokoju.

Niema bowiem podstawowych różnic między artystami z prawicy i lewicy, bo nie stnieją one w atmosferze sztuki dzisiejszej, która po przebyciu powojennych paroksyzmów wróciła do spokoju, a ci najmłodsi szybciej nawet odrzucili bojowy rynsztunek, niż starsze pokolenie, nawykłe do ciągłych utarczek, a czasami i do twardych batalij o miejsce dla swego artyzmu.

Więc i Salon zimowy w „Zachęcie" roku Pańskiego 1933 stoi pod znakiem ogólnej pacyfikacji i doskonalenia raczej rzemiosła artystycznego, niż poszukiwania nowych idej.

Przed 6 — 7 laty wystawy doroczne w „Zachęcie" wywoływały zasadnicze dyskusje, jednych entuzjazmowały, drugich przyprowadzały do białej gorączki.

W dniu otwarcia Salonu zbierały się takie kłęby chmur dynamitowych, iż lada starcie, a mógł nastąpić wybuch...

Wprawdzie nie dochodziło do poważnych eksplozyj, ale po salonach wystawowych krążyły roznamiętnione twarze, ponure spojrzenia przewiercały porozwieszane obrazy, a często gęsto padały ważkie słowa: geniusz, zaś wtórował im natychmiast wężowy syk — idjota!

Nie pomagała nawet misterna dyplomacja prezesa „Zachęty" i łagodząca nerwy czarna kawa z likierem w wigilję otwarcia, aby zbliżyć zaciekłych... Likier i owszem, czarna kawa — także, ale kretyn swoją drogą.

Czego nie mógł zrobić troskliwy prezes Brzeziński, dokonał czas —



Rudnicki Jan „Portret Pani M. Z."



Karpiński Alfons „Portret L. Solskiego"



Janowski J. P. „Portret Pani S."

Fot. Janczewska



Antoni Grabarz „Muzykanty"



Roguski W. „W kąpieli"

Römerowa Anna „Powrót z kiermaszu"



Zawadzki Stanisław „Serenada"



pokoju sprzymierzeniec. Artystów owiał wiatr klasyczności.

Coprawda nie ma się do czego spieszyć, za drzwiami nie czeka klijent w ogonku, bo sprzedać obraz lub wygrać na loterji — to jedno... Rzadko się zdarza, więc nad dziełem można dłużej, bardzo nawet długo popracować, wykończyć do ostatnich szczegółów, zerwać ze szkicowością i tworzyć naprawdę obrazy, jak w owych czasach, gdy nie znano jeszcze pięknej dewizy: „time is money".

Nie trzeba należeć do rodziny wolterjańskiego arcyoptymisty, aby nie zauważyć, że kryzys zaszkodził artystom, ale pomógł sztuce.

Któż naprzykład kazałby panu Alfonsowi Karpińskiemu tak wnikliwie studjować kobietę przy lustrze, i malować na jednem płótnie dwie postacie tej samej osoby — rzeczywistość i jej odbicie... Trochę pudru, trochę szminki, suknia szyk, pikanterji w miarę, obraz gotowy. Ale teraz czasu dość, zadużo nawet, jak na potrzeby malarskie, więc mogło powstać dzieło tak poważne i tak wartościowe, jak ten portret kobiecy w dwóch wersjach.

Nie wyrzekajmy na kryzys, stworzył on przełom w polskiem malarstwie portretowem. Rozbudził ochotę do malowideł monumentalnych i reprezentacyjnych.

Chudziarami wydają się ci dawni markizi i dawne duchessy z portretów Reynoldsa czy Lawrence w porównaniu z dzisiejszymi potentatami, płacącymi żywą gotówką za swe podobizny, więc dobry ton obowiązuje: wykwint, majestatyczność, wdzięk i płótno odpowiednio wielkie i staranność malarska.

Może być, że właśnie dla tego powodu, a nie dla czego innego, tyle naraz dobrych portretów ukazało się na wystawie. Przed 6 — 7 laty nie spotykało się równie troskliwie i akuratnie wykonanych.

A w tej rewji portretowej jest Augustynowicz Aleksander, Badowski, Czepita, Rudnicki Jan, Karniewski, Grabowski Ludwik, Heydukowska, Jagodziński, Karniej z Wilna, Nagórski Juljusz, Nirnstein i bardzo reprezentacyjni: Przesłański i Rudzka, a nadewszystko Koźniewska, Mikulicz-Jaroszyńska i Wąsowicz-Sopoćkowa. Kolekcja pierwszorzędna z wybitną przewagą kobiecych talentów.

Nie obesłały wprawdzie wystawy, ku niepocieszonemu zmartwieniu dyrektora wystawy p. Mikulicza, najwybitniejsze malarki Warszawy, ale te, co są, śmiało mogą być użyte do wróżby, że nastaje wiek, w którym kobiety idą na front, a mężczyźni na tyły.

I krajobraziści i malarze obrazów rodzajowych, twórcy martwych natur, bataliści, maryniści i t. d. rzucili swe karty wizytowe w postaci dwóch czy trzech obrazów na dowód, iż są, malują i jeszcze nie zagryzł ich kryzys.

A wśród tych niezaprzeczenie dobrych i lepszych a różnorodnych pokazów zastanawia cykl prac Stanisława Żukowskiego, które znaleźć się powinny w muzeum sztuki polskiej. St. Żukowski wykazał w nich mistrzostwo, jakie w tej chwili trudno odnaleźć na obszarze całego malarstwa polskiego.

Rzeźba i grafika wystąpiły skromniej.

Czołowi rzeźbiarze polscy zajęci monumentalnemi pracami: Jackowski przygotowuje pomnik Kilińskiego, Wittig, Kuna wolą wystawiać w „IPS'ie, fragmenty działalności Zerycha, Wojtowicza, Polkowskiego, Nalewajskiego, Madejskiego, Alznera, Brzegi, Habdasa, Jasińskiego, Karniewskiego, Kobierskiego świadczą, iż miłośników rzeźby i jej mecenasów jeszcze mniej, niż amatorów malarstwa.

Tylko Roth Franciszek nie zawahał się na odlanie w bronzie „Tańczącej nimfy", czekającej na pomieszczenie w ogromnym hallu lub parku jakiegoś magnata.

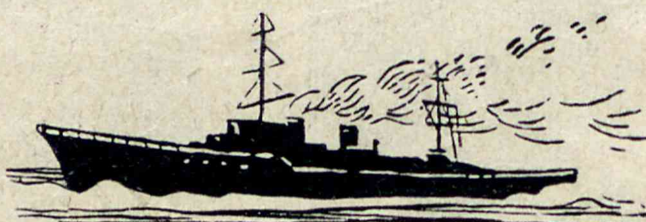
Dowód oczywisty, że artyści umieją marzyć i mniej się kłopocą o przyszłość, niż członkowie rozwiązanych karteli.

Witołd Bunikiewicz.

Nowe transatlantyki polskie

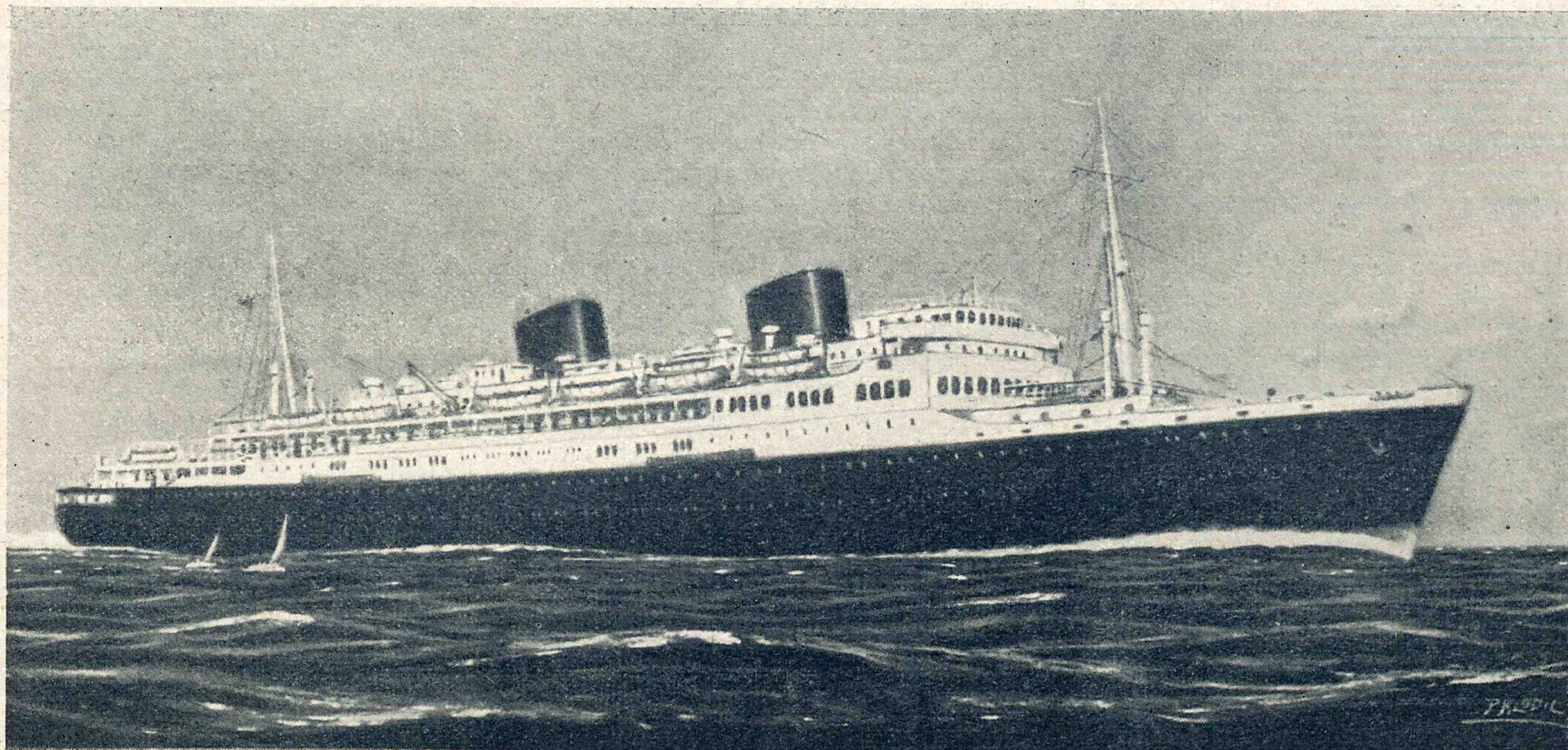
Rozgrywająca się na Północnym Atlantyku walka o „niebieską wstęgę" oceanu nie jest walką wyłącznie o szybkość. Linje transatlantyckie poszczególnych krajów, przeważnie wspomagane przez rządy i przez te rządy zachęcane do współzawodnictwa, starają się pobić jedna drugą przedewszystkiem wygodą na okręcie, dobrą kuchnią, dobrą usługą, dobremi urządzeniami, komfortowem wyposażeniem wnętrza kabin i salonów, umiejętnem i przyjemnem rozplanowaniem czasu podróży — jednem słowem starają się ubiec jedna drugą w zorganizowaniu jaknajmilszej dla pasażera podróży, trwającej przeciętnie cały tydzień.

Ideałem okrętu transatlantyckiego jest pierwszorzędny, luksusowy hotel, wyposażony we wszelkie nowoczesne zdobycze techniki mieszkaniowej i higjeny. Niektóre najnowsze transatlantyki prześcigają nawet najbardziej luksusowe hotele światowej marki. Podróżny na kilka dni oddaje się w ręce „manager'ów" takiego hotelu, zapomina o wszystkiem, o swoich kłopotach i dolegliwościach, i przez kilka dni znajduje się pod idealną opieką wykwalifikowanych i uprzejmych kierowników tego pływającego nad-pensjonatu.



W ciągu ostatnich kilku lat zjawiły się na Atlantyku nowe, wspaniałe okręty. Francja pierwsza puściła słynne swoje Isle de France i Paris i pracuje nad arcydziełem budownictwa okrętowego, olbrzymią Normandie. Niemcy zdobyły „niebieską wstęgę" szybkości Bremen'em i Europą, które zajęły miejsce po zasekwestrowanych naskutek przegranej wojny Vaterland'zie i innych. Włochy, po sukcesie niemieckim, stanęły do wyścigu z pięknym Rex'em i Conte di Savoia. Amerykanie, dla których głównie buduje się te wspaniałe pływające hotele luksusowe, właściwie nie mieli własnej linji transatlantyckiej i posługiwali się linjami krajów europejskich; jednakowoż i oni, w uzupełnieniu nielicznej swej floty, częściowo pochodzenia niemieckiego (zasekwestrowanej), wypuścili ostatnio dwa bardzo wygodne i eleganckie, tanie „kabinowce" Manhattan i Washington. Wreszcie, królowa mórz, Anglja, której „Mauretania" przez dwadzieścia lat ozdobiona była wstęgą szybkości, przystąpiła do budowy największego na świecie okrętu, olbrzyma 70-tys. tonnowego.

Każdy kraj dawał podróżnym, co mógł najlepszego. Francja — doskonałą kuchnię, estetyczne wnętrza i niewymuszony nastrój, Włochy — podróż drogą południową i przepych medycejski, Niemcy —



Widok zamówionego przez Linję polską Gdynia—Ameryka okrętu transatlantyckiego

szybkość i wygodę, Ameryka — komfort.

Przed paru laty i polska bandera zjawiła się na szlaku Europa — Ameryka Północna. Zjawiła się z okrętami nie swojemi, zakupionemi od linji duńskiej, okrętami wygodnemi, solidnemi, poczciwemi — ale przestarzałej konstrukcji i urządzonemi nieco po staroświecku. Obok luksusowych, najnowocześniejszych hoteli zagranicznych — pływały nasze solidne, porządne hotele, ale staromodne, „przedwojenne". Wykonywały swoją pracę zupełnie dobrze, spełniły pionierskie zadanie, Polakom i światu całemu dowiodły, że jesteśmy na Oceanie, nauczyły społeczeństwo podróży po morzu — i utorowały drogę do nowych, najnowszych okrętów, które mają je już za dwa lata zastąpić.

Linja Polska Gdynia — Ameryka, po kilku latach pionierskiego pływania po Atlantyku, postanowiła dorównać zagranicznym linjom i zamówiła dwa nowe okręty.

Będą to stalowe, dwuśrubowe, motorowe statki pasażersko-towarowe.

Długość ich przy powierzchni wody wynosić będzie — 156 metrów (wobec 137 „Polonji"), szerokość — 21,5 mtr. (17,8), zanurzenie 7,5 mtr. (7,7), pojemność brutto ok. 14.000 ton (7.700), pojemn. netto ok. 8,500 ton (4,519).

Statki będą poruszane przez 2 motory ropowe, zastosowane do krajowego paliwa, typu Sulzer o mocy 12,000 KM. Dwa kotły pracujące gazami wydechowemi będą służyły dla uruchomienia centralnego ogrzewania. System sterowania zastosowano elektro-hydropneumatyczny, co daje podwójne zabezpieczenie jego funkcjonowania. Będą posiadały: żyrokompasy oraz żyropilot t. j. przyrząd do samoczynnego sterowania; sondę ultradźwiękową, podwodne aparaty odbiorcze dla sygnałów dźwiękowych i ultradźwiękowych latarń morskich.

Urządzenia pasażerskie przewidziane są na przewóz 800 pasażerów.

Statki będą wyposażone w najbardziej nowoczesne urządzenia, jak: basen do pływania, sale gimnastyczne, windy, pokłady sportowe, kort tennisowy, pokoje specjalne dla dzieci, salony z dancingiem, estrada, duże oszklone werandy, duża ilość kabin pojedyńczych i dwu-osobowych z łazienkami i prysznicami, z wygodnemi łóżkami, radio-stacja na długie i krótkie fale, nowoczesny system telefoniczny, pięknie urządzone sale towarzyskie, amerykańskie bary, bieżąca gorąca i zimna woda, specjalne garaże dla samochodów pasażerskich.

Przewidziane są dwie klasy dla pasażerów: klasa turystyczna, dla pasażerów zamożniejszych i klasa trzecia — dla pasażerów mniej zamożnych, lecz chcących podróżować z możliwym komfortem.

W klasie turystycznej będzie miejsc na 355 pasażerów. 20 kabin posiada osobne łazienki.

Kuchnie, opalane ropą, piekarnia, cukiernia, lodownie, zabezpieczają łatwe prowadzenie kuchni dla wszystkich pasażerów z uwzględnieniem kuchni koszernej. Zastosowano najnowszy system wentylacji kabin z termotankami, wszystkie kabiny posiadają bieżącą wodę słodką, gorącą i zimną oraz połączenie telefoniczne wewnętrzne.

Wszystkie urządzenia wewnętrzne będą utrzymane w stylu polskim i projektowane przy udziale najlepszych polskich artystów.

Pierwszy statek będzie oddany przez stocznię do użytku w ciągu 20 miesięcy, drugi — w ciągu 26 miesięcy.

Dla ładunku bagażu i poczty statki będą wyposażone w 4 ładownie o 225.000 st^3, mogące pomieścić przeszło 2.000 tonn. Personel będzie się składał z około 260 osób załogi pokładowej, maszynowej i hotelowej.

Tranzakcja kupna statków została zawarta całkowicie na zasadach kompensaty za węgiel i stal z Polski.

Stocznia Cantieri Riuniti dell' Adriatico, S. A. Cantiere Monfalcone, która otrzymała zamówienie, jest najpoważniejszem tego rodzaju przedsiębiorstwem we Włoszech. Wybudowała m. in. „Conte di Savoia".

Za dwa lata będziemy więc pływać polskiemi „Mauretaniami", czy „Rex'ami". W wyścigu o wygodę, taniość, przyjemność podróży morskiej zajmiemy godne miejsce.

js.

J. MEISSNER

AZALAI

II.

Naprzeciw kopalń Argogot stanęły setki piasiastych namiotów, a wieczorem zapłonęło wiele ognisk. Przez cały dzień od strony kopców białego piasku wyrzucanego z długich rowów, nieustannie podciekających słoną wodą, dochodził powolny stuk oskardów. Równo ociosane bloki soli szkliły się w słońcu. Rozpaczliwie smutna, jednostajna pieśń artanów, zdająca się być jękliwą skargą rozszarpywanej ziemi, płynęła nad spaloną żarem płaszczyzną.

Wysłannik kupców, Ahmed ben Mohamed zwolna cmokał pachnącą i słodką kawę na tarasie domu kaida, rozmawiając z nim o rzeczach obojętnych, aby Sidi el Moktar nie pomyślał, że zależy mu wyłącznie na zakupieniu soli po możliwie najniższej cenie.

— Przybywasz z daleka—rzekł kaid — i wiele widziałeś, a także wiele musiałeś słyszeć nowin i wieści o tem, co się dzieje nad Nigrem i jeszcze dalej na południe i na zachód.

— Przybywam z Timbuktu — powiedział Ahmed. — Przybywam z Timbuktu i przynoszę ci Sidi pozdrowienia od świętych sług Allaha, który niech będzie pochwalony.

— Akbar Allah — wtrącił kaid.

— Przynoszę ci także pozdrowienie od mego przyjaciela kapitana Arrachard, który był twoim gościem w zeszłym roku.

Sidi el Moktar pominął milczeniem tę wiadomość, gdyż nie lubił francuzów i uważał się za samodzielnego władcę Taudeni, niepodlegającego Administracji, która go zresztą sama mianowała.

Więc Ahmed ben Mohamed mówił dalej. Opowiadał zwolna i dostojnie o stanie pastwisk nad Nigrem i o hodowli wielbłądów. Wspomniał o tem, że córka bogatego kupca, Selimena Ibn Huada została żoną marabuta Sidi En Beblag. Że kaid Oddari zmarł jeszcze jesienią, a liczni spadkobiercy jego wielkich bogactw dotąd toczą między sobą spory o podział majątku. Opowiadał o ludziach i zdarzeniach, starannie dobierając słów kwiecistych i pachnących, lub takich, które dosadnie malowały istotę rzeczy, aby podnieść smak ciekawych wieści i nadać im należną wagę.

Kiedy zaś gospodarz zapytał o podróż tegorocznej azalai, mądry Ahmed uznał, że nadszedł czas, aby zacząć rozmowę na temat bliższy, niż inne, i zręcznie odrzekł, że eskorta jest dobrze uzbrojona i dość liczna, oraz że studnie po drodze obficie zaopatrzone są w wodę.

— A przecież handel solą z Taudeni coraz mniej jest zyskowny — westchnął na zakończenie.

Kaid uśmiechnął się powątpiewająco.

— Argogot przestało być jedynem źródłem cennej przyprawy, bez której nawet mięso wielbłąda staje się marnem jadłem — powiedział Ahmed. — Kupcy europejscy przywożą sól na wielkich łodziach z Bamako, dokąd dostarcza ją kolej żelazna.

Sidi El Moktar nie widział nigdy kolei żelaznej, ale bynajmniej go to nie zmieszało.

— Widziałem próbki soli z Bamako — oświadczył wyniośle. — Nie chciały jej lizać nawet wielbłądy: jest czarna i gorzka. To też sól, która posiada czerwoną lub niebieską pieczęć Taudeni, zawsze znajdzie chętnych nabywców. I gdyby psy niewierne, rządzące na ziemi Allaha, nie mieszały się do moich artanów, sól z Argogot byłaby tańsza, niż kiedykolwiek. Czy wiesz, Achmedzie, co czyni Administracja, by zbuntować kopaczów? Nie dość, że zabroniono uczciwego handlu niewolnikami, który ojcowie nasi prowadzili od wieków, nie dość, że przysyłają tu swych misjonarzy; teraz wybudowali osady, do których mogą swobodnie uciekać artani każdej kopalni. Żaden właściciel salin, czy był to Kunta, Berrabisz, czy też Tadżakant, nie ośmielał się nigdy dotąd korzystać z ucieczki artana i dać mu u siebie zarobek, lub choćby pożywienie za pracę. Administracja zaś buduje dla nich schroniska.

Achmed głośno pociągnął łyk kawy, aby uniknąć bezpośredniej odpowiedzi i oświadczył, że azalai mogłaby zabrać 10.000 bloków soli za godziwą zapłatą w towarach i żywności.

Zaczął się targ, który trwał do północy i nie dał żadnych wyników: kaid, prócz wielkiej ilości wełny i tkanin, żądał tyle herbaty, kawy, cukru i daktyli, że karawana nie miałaby czem żywić się w drodze powrotnej. Chciał także, aby dostarczono mu strzelb, prochu i skór wyprawnych, oraz surowych. Dawał do zrozumienia, że wypada uczynić mu prezent, godny przyjęcia przez naczelnika miasta. Jednem słowem — był niesłychanie wymagający.

Achmed ze swej strony obstawał przy cenach z ubiegłego roku, uśmiechając się pobłażliwie po każdem nowem żądaniu El Moktara. Powstał wreszcie, obiecując przybyć nazajutrz i wyraził nadzieję, że noc wpłynie dodatnio na skłonność do umiarkowania czcigodnego kaida.

*

Porucznik de Sèze zaczynał tracić cierpliwość. Trzykrotnie nawiązywane i zrywane w ostatniej chwili rokowania między kupcami a właścicielami kopalń trwały już czwarty dzień i stawały się coraz bardziej problematyczne, wskutek niezdecydowania kaida, który to zgadzał się na warunki odbiorców, to znów cofał słowo i powracał do swych nadmiernych żądań, wbrew przyjętym zwyczajom.

Położenie azalai stawało się kłopotliwe: wielbłądy ściągano z Telig i odsyłano z powrotem, zależnie od kaprysów El Moktara, a przedłużający się postój uszczuplał zapas jadła i paszy.

To też gdy piątego dnia rano Achmed ben Mohamed wszedł do namiotu dowódcy eskorty, by mu donieść, że zamierzone ładowanie bloków solnych znów nie dojdzie do skutku, bo kaid raz jeszcze zerwał zawartą umowę, de Sèze postanowił położyć kres wyraźnym drwinom upartego naczelnika miasta.

Kapral Amar ben Aissa w towarzystwie dwuch strzelców przybył do domu kaida z wezwaniem od Aureljusza de Sèze, zwierzchnika francuskich sił zbrojnych w Aruanie.

„Moktarze — pisał porucznik.— Nie mam zamiaru wtrącać się do kłótni i targów między tobą a naczelnikiem azalai. Uważam jednak, że obowiązują cię dobrowolnie przyjęte warunki wymiany i że nie powinieneś lekceważyć raz zawartej ugody. Poza tem zawiadamiam cię, że nie zamierzam skazywać siebie i swoich żołnierzy na śmierć głodową dla twych kaprysów, i jako przedstawiciel Władz Francuskich nakazuję ci natychmiast rozpocząć ładowanie soli. Żądam także, abyś przybył do mego namiotu i w mojej obecności potwierdził umowę z kupcami".

El Moktar siedział na jedwabnej poduszce i czytał wolno wyraźne pismo z urzędową pieczęcią, a błę-

kitne żyły na jego czole nabrzmiewały gorącą krwią, która od mózgu niesie do serca prędki gniew i napełnia nim wątrobę.

Amar siedział naprzeciw i czekał, obojętnie patrząc ponad głowę kaida. Tuż za nim, niby dwa czarne posągi, stali dwaj strzelcy sudańscy z karabinami u nogi.

W głębokiem milczeniu mrocznego wnętrza domu słychać było brzęk much, nudny i usypiający. Kapral ziewnął i przeniósł wzrok na twarz Moktara.

— Więc? — spytał krótko.

Brwi kaida Taudeni zbiegły się w groźną, prostą linję nad gorejącemi oczyma.

— Nie odzywaj się, skoro nie pytam—powiedział, tłumiąc gniew. — Jestem kaidem; czy nie wiesz o tem?

— A ja jestem żołnierzem, francuskim żołnierzem—spokojnie odpowiedział Amar. — Pytam w imieniu mego dowódcy, któremu i ty, Sidi, winien jesteś posłuszeństwo.

— Tak sądzisz? Powiedz więc porucznikowi de Sèze, że jeśli chce ze mną mówić, to może sam tu przybyć... o ile potrafi i jeżeli się nie boi. A teraz możesz odejść i podziękować Allahowi, że wracasz żywy.

Zmiął list i cisnął go w kąt.

— Oto, czem jest dla mnie rozkaz twego dowódcy — rzekł, powstając.

Amar ben Aissa zbladł i machinalnie poszukał ręką noża, który zwisał na pasie u jego boku. Ale pohamował się natychmiast.

— Myślę, że porucznik de Sèze nie będzie się bał i przyjdzie do ciebie, Sidi — powiedział dobitnie.

*

Wielkie mocno okute wrota zatrzeszczały przeciągle pod naporem oskardów i ramion szesnastu strzelców. Zgrzytnęły rozpaczliwie zawiasy, wgięły się żelazne klamry, rozdzierająco zakwiczały wyrywane z drzewa śruby. Z jękiem runęły oba skrzydła bramy na gładkie kamienie wjazdu.

De Sèze wszedł w wąskie przejście i znalazł się w ciasnej uliczce, zamkniętej południowo-zachodnią wieżą kasby. Za nim skupili się żołnierze, z bronią gotową do strzału na pierwszy ruch podejrzany wśród tarasów glinianych domów. Ale tarasy były puste i głuche milczenie czaiło się w czarnych otworach maleńkich okratowanych okien. Tylko za blankiem zębatego szczytu wieży tkwił nieruchomo cień ludzki, ledwie widoczny w wycięciu strzelnicy.

De Sèze jednak poznał odrazu, kto się tam kryje.

— Poddaj się, Moktar, — zawołał.

— Odejdź precz, de Sèze, — odpowiedział głos.

Porucznik odwrócił się do swych ludzi. Otwierał usta, aby wydać rozkaz, gdy z wieży padł pojedyńczy strzał.

De Sèze poczuł ukąszenie w bok i nagłe szarpnięcie, a potem ostry ból w krzyżu. Nie mógł już dobyć głosu. Zachwiał się i usiadł pod murem, chwytając ustami powietrze.

W tej chwili gruchnęła z dołu salwa, a zaraz potem kilka kul odłupało płachcie wyschłej gliny z domów po obu stronach ulicy. Pośpieszna, bezładna strzelanina podziurawiła ciszę, a gardłowe okrzyki strzelców napełniły rosnącą wrzawą zaułek. Strzały z wieży, strzały z okien i z za węgłów muru, gdzie przypadli czarni żołnierze, związały się w niemilknący werbel karabinowej palby.

De Sèze wśród tego nagle powstałego chaosu zwolna odzyskiwał przytomność. Leżał oparty o występ muru i względnie zabezpieczony teraz od pocisków, które tłukły po kamieniach i z suchym trzaskiem łupały boki domów.

W pewnej chwili poczuł, że unoszą go silne ramiona i zobaczył sierżanta Descland, który odciągał go dalej, pod osłonę karabinów Amara i kilku strzelców. Reszta oddziału wycofywała się również po za obręb murów miasta, ostrzeliwując wieżę, z której gęsto unosiły się kłębki prochowego dymu.

— Do licha! — zaklął de Sèze, krzywiąc się z bólu.

— Pan jest poważnie ranny, poruczniku. Proszę pozwolić nieść się spokojnie — spiesznie powiedział sierżant.

De Sèze wykonał gest zniecierpliwienia.

— Głupstwo. Muszę tu zostać.

Descland się zawahał.

— Rozkazuję wam, sierżancie— powiedział de Sèze gniewnie. — Zostanę tu. Pomóżcie mi usiąść. Tak. Nie ruszę się stąd, póki nie przyprowadzą mi Moktara żywego lub zabitego.

— Amar natychmiast sprowadzi wszystkich strzelców. Gumjerzy niech pozostaną w Argogot i dopilnują załadowania soli. Allez.

Pozostawili go pod opieką dwuch sudańczyków, którzy podawali mu wodę i cucili go, ilekroć popadał w omdlenie. Kula, którą posłał mu El Moktar, przeszła przez mięśnie, nie naruszając prawie jelit, ale nadwyrężyła kręgosłup, skutkiem czego nie mógł siedzieć o własnych siłach. Nie myślał jednak o sobie. Honor Francji wymagał niezwłocznego stłumienia buntu i ukarania hardego kaida. Honorowi Francji musiało się stać zadość.

Tymczasem strzelanina osłabła. Descland czekał na posiłki, nie chcąc napróżno marnować amunicji, a buntownicy nie mogli razić jego żołnierzy, zosłoniętych ścianami pobliskich domów i mieszkań, które zostały kolejno zajęte przez oblegających.

ZIMA SIĘ SPIESZY



Kra na Wiśle pod Warszawą Fot. Ryś

ŚWIAT TEATRU

Przed „Świętoszkiem" w Teatrze Narodowym

Teatr Narodowy konsekwentnie realizuje swą linję wielkiego repertuaru. Tryumf „Zemsty", sukces wznowionego „Don Juana", wybitne powodzenie „Nie igra się z miłością" Musseta (w Teatrze Nowym) wszystko to utwierdziło kierowników b. Teatrów Miejskich w przekonaniu, jak bardzo publiczność stęskniona jest za arcydziełami literatury dramatyczno-komedjowej.

Realizując tedy ten program, Teatr Narodowy jako najbliższą premjerę wystawia 13-go grudnia „Tartufe'a" czyli „Świętoszka" Moljera. Do wystawienia „Świętoszka" skłonił kierownictwo nietylko fakt zaprezentowania nowej roli niezmordowanego i wiecznie młodego mistrza Ludwika Solskiego, fakt sam przez się zresztą stanowiący prawdziwą sensację artystyczną.

Nieśmiertelna Moljerowska satyra na wszelką hypokryzję jest utworem zupełnie wyjątkowym, jeżeli chodzi o walory formalne. „Świętoszek" bowiem łączy w sobie zalety świetnej komedji obyczajowej, malującej życie obyczajowe XVII wieku, z komedją typu i komedją charakterów, łączy więc szereg cech komedjowych różnego gatunku w harmonijnej całości, stanowiąc w dziedzinie komedjopisarstwa utwór naprawdę wyjątkowy.

Prawda i naturalność przedstawionych osób dają równocześnie wielki i bogaty materjał aktorom wszystkich czasów i epok do wydobycia istotnie ludzkich pierwiastków z natury człowieczej, którą Moljer, największy bodaj jej znawca, przeniknął w „Świętoszku" naskroś i ujawnił jej nieśmiertelne, niezmienne cechy.

E. Ś.

„Milcząca siła" w Reducie

„Milcząca siła" jest dalszym i konsekwentnym argumentem w tej bojowej akcji, jaką p. Szczepkowska-Morozowicz wydała — mężczyznom. Już w „Sprawie Moniki", która zresztą obiegła wszystkie sceny polskie i grana była półtysiąca razy w całej Polsce, a obecnie grana jest zagranicą, nie wyłączając Ameryki — p. Szczepkowska zaprezentowała się jako głęboko przeświadczony i precyzyjnie uzbrojony — wróg mężczyzn, których w tej pierwszej swej programowej sztuce przedstawia jako przewrotnych nierobów, snobów, żyjących z pracy kobiecej i wogóle kreatury z pod ciemnej gwiazdy... Brzmiały w tem nuty dość zamierzchłego feminizmu z przed 30 lat.

Zachęcona i podniecona aplauzem kobiecej widowni p. Szczepkowseka nawołuje obecnie potężną a straszliwą „Milczącą siłę" czyli kobiety do decydującej rozprawy z tryumfem genjuszu męskiego, który rzekomo wtrąca świat z powrotem w odmęty wojny i bratobójczej walki między narodami.

P. Szczepkowska rzuca hasło: „kobiety wszystkich krajów łączcie się" do walki o wyzwolenie z pod przemocy i supremacji męskiej, do walki o pacyfikację świata i zorganizowanie pracy na nowych zasadach.

Te trzy problemy: stosunek kobiet do mężczyzn, do pacyfizmu i do kapitalizmu równolegle biegną i przecinają się wreszcie w sztuce „Milcząca siła". Jest to udramatyzowana, dwugodzinna dyskusja, artykuł wstępny z feministycznego pisma przeniesiony na scenę, artykuł dość anachroniczny w argumentacji.

Tego rodzaju utwory z olbrzymim przerostem djalektyki publicystycznej grać trudno, aczkolwiek reżyserji p. Zofji Modrzewskiej udało się sztukę ożywić i wypunktować nikłe zresztą u autorki napięcie dynamiczne akcji. Z pośród wykonawczyń na pochwały zasługują: Zofja Grabowska, Zofja Małynicz i Julja Kossowska.

(Sz. Ski).

W kilku wierszach

SUKCES „TOWARISZCZA"

Najnowsza komedja znakomitego autora „Mademoiselle" i „Stefka", Jakuba Deval'a p. t. *„Towariszcz"* — w niespełna dwa miesiące po prapremjerze paryskiej została wystawiona w wiedeńskim Teatrze Reinhardta t. zw. „Josephstadt Theater". Sztuka wstępnym bojem zdobyła pełne uznanie publiczności i wielkie powodzenie kasowe; krytyka, z bardzo małemi wyjątkami, przyjęła „Towariszcza" wyróżniająco, a recenzent najpoczytniejszego dziennika „Neue Freie Presse" zakwalifikował wręcz komedję Deval'a jako wzór *(Vorbild)* umiejętności pisarskiej, dowcipu i wdzięku. Artyści reinhardtowscy — Lili Darvas, Ant. Edthofer i Hübner — w trzech rolach naczelnych: W. Księżny, Księcia i Towarzysza, — odnieśli wielki sukces. U nas te role kreować mają: Mieczysława Ćwiklińska, Jerzy Leszczyński, Gust. Buszyński. „Towariszcz" w przekładzie Bolesława Gorczyńskiego będzie najbliższą premjerą Teatru Letniego.

FRANCUSKA SZTUKA WOJENNA NA SCENIE HITLEROWSKIEJ.

Wystawiona w sezonie ubiegłym na scenie Komedji Francuskiej i grana tam przez szereg miesięcy z dużem powodzeniem (mimo niechętne stanowisko części prasy i publiczności) 3-aktowa sztuka Pawła Raynala — autora słynnej „Mogiły Nieznanego Żołnierza" — p. t. *„La Francerie"* została ostatnio wystawiona w teatrze miejskim w Bazylei, po raz pierwszy w języku niemieckim — p. t. *„Marne"*. — Sztuka Raynal'a, oparta na temacie zaczerpniętym z pierwszego okresu wielkiej wojny, wejść ma w niedługim czasie na repertuar teatru miejskiego w Erfurcie, a stamtąd na wszystkie wielkie sceny Trzeciej Rzeszy.

Co słychać w rosyjskiej dramaturgji i teatrach

Rosyjska literatura dramatyczna i teatr rosyjski zawsze były bardzo interesujące. Biła z nich siła wyrazu, bezpośredniość, szczerość i spora niezależność od Zachodu.

Choć reżym absolutyzmu sowieckiego zaprzągł teatr do służenia komunie, ale to zwekslowanie tendencji, powiedzmy raczej — treści sztuk nie wpłynęło na poziom artystyczny teatru ani na sposób ujęcia przedmiotu, w czem najkapitalniej zawsze wyraża się dusza pisarza.

W Moskwie wychodzi miesięcznik „Teatr i Dramaturgja", w którym toczą się poważne dyskusje na temat zadań teatru.

Nie można powiedzieć, żeby obecny teatr rosyjski zasklepiał się we własnej skorupie. Interesuje się on bardzo literaturą obcą. Tak naprz., ostatnie numery tego pisma przynoszą doskonałe tłumaczenie „Niespodzianki" Roztworowskiego pod zmienionym tytułem „Dolary".

Głównym charakterystycznym rysem teatru rosyjskiego jest zupełne zerwanie z dramatem mieszczańskim, seksualno-psychologicznym. Ani się w tym sensie nic nie pisze, ani tłumaczy, ani wystawia, chyba w karykaturze. Nie znaczy to bynajmniej, że wypędzono ze sztuk teatralnych miłość. Tak nie jest. Tylko, że współczesny rosjanin nie wzrusza się miłością z angielskich romansów i francuskich komedji. Ale za to wzrusza go taka scena:

„Dziewczyna kocha młodego człowieka, który chce się z nią ożenić, ale mu powiada: — Kocham cię, lecz wyjść za ciebie nie mogę, bo ty jesteś „jedynolicznik" a ja „kołchoznica". (On miał własne gospodarstwo indywidualne, a ona pracuje w gminie rolniczej).

Tu następują brawa i na sali daje się odczuwać dreszcz wzruszenia.

Młodzi reżyserzy dochodzą do śmiałych pomysłów, którym trudno dać nazwę nawet skrajnych prymitywów. Naprz. Ochłopkow w sztuce „Razbieg" daje takie widowisko: kozak kąpie się na scenie, na której niema ani wody ani brzegu rzeki, ani wogóle właściwej dekoracji. Ale wykonywa ruchy takie i w ten sposób, że widz ma sugestję kąpieli.

Dramaturgja rosyjska zbliżyła teatr do życia bardziej, niż dramaturgja Zachodu. — Wprawdzie takie sztuki, jak „Blokada", „Pociąg pancerny", „Chleb", „Strach", których już same tytuły wiele mówią, mogą się nam wydać tendencyjnemi i są niemi, jednak trzeba je uważać za przesadne próby neofitów nowej sztuki. Niewątpliwie, dalsze usiłowania wyzwolą autorów ze służalczości partyjnej i skierują ich nastawienie socjalne na nowe tory — asymilowania w wielkiej sztuce problemów nie w ich karykaturze interesu partyjnego, lecz w najgłębszej treści zagadnień piękna w życiu socjalnem.

Zmienił się też i rosyjski aktor. Hasło Stanisławskiego — nie grać, tylko działać na scenie — stało się dziś kanonem dla wszystkich artystów, którzy odbiegli od szablonów.

Z nowych talentów aktorskich kobiecych wybiła się na czołowe stanowisko piękna Jełanskaja (gra obecnie Goldoniego „Oberżystkę") oraz aktorka-tanecznica — Druckaja.

Jakichś dziesięciu - dwunastu autorów pisze stale dla teatru. Oczywiście nie wszystkie ich sztuki, nawet najlepsze, nadawałyby się na scenę polską. Ale należy żałoby może im się przyjrzeć.

G. Ol.

PARISIANA

Reinhardt próbuje w Paryżu...

Grand refugié z Berlina wystawił, jak wiadomo, w Paryżu swój słynny majstersztyk reżyserski — operetę Jana Straussa „Zemsta nietoperza". Ten ewenement artystyczny stał się „wypadkiem dnia" w kulturalnem, towarzyskiem i do pewnego stopnia... politycznem życiu stolicy Francji. To też z tego powodu pisma paryskie pełne są wywiadów z „Mistrzem", migawek, feljetonów, impresyj. Między innemi znajdujemy w „Marjannie" barwną relację z prób w rotszyldowskim *Théâtre Pigalle*.

...Widownia najpiękniejszego z teatrów Paryża tonie w ciemności. Oświetlona jest tylko scena. Między nią a pierwszym rzędem przerzucony — most. Na scenie tancerki, śpiewacy, aktorzy, komparsi. Słychać rozmówki we wszystkich językach Europy... Właśnie wzywają zespół baletowy do charakteryzowania się. Rozlega się tupot tabuna młodzieńczych nóżek i wesoły pisk w rodowitym języku hiszpańskim:

— *Peluquero! Peluquero!*...

Na froncie sceny świetny komik paryski Dorville, jeden z nielicznych rodowitych francuzów w zespole „Nietoperza", naciera na suflera:

— Słuchaj ty, ja umiem doskonale, mnie nie trzeba tak wrzeszczeć!...

Na to drugi paryżanin, znakomity Jules Berry:

— To mnie trzeba, nie jemu. Pamiętaj!

Ogólna wesołość.

Wtem, stądciś z krzeseł — klaśnięcie w dłonie. Odrazu cisza, potem stuk pałeczki. Muzyka. Zaczyna się „akcja"...

Na scenę wchodzą dwie piękne artystki, jedna „smukła blondyna" czeszka (Nowotna), druga — Lotta Schoene — nomen omen...

Wywiązuje się „francuski" djalog:

— *As tou dé nouvelles de ta tânté* (akcent na té)? *Si elle est mâlâde, jè te peermets d'âller* (akcent na pierwszej sylabie) *la voir*.

— *Vrrrrraiment?* (Tysiąc er i akcent na pierwszej sylabie).

— *Mais di-moi* (akcent na di), *ta tânté* (akcent na té) *est-ce qu'elle n'est pas dans l'artillllerie* (tysiąc el)?...

Następuje śpiew, muzyka i znów djalog... Nagle, wielki zgiełk w orkiestrze, rumor za sceną, stylowy kolorowy pokoik jedzie w tył, na front zajeżdża — więzienie...

I znów djalogi, śpiew, muzyka... Jakiś czas — nieduży — to trwa, aż gdzieś z czeluści parteru wydziera się straszliwy głos rozpaczy:

— *Das geht nicht!... Nein! Nein!! Nein!!!*

Cisza, jak makiem zasiał. „Profesor" Korngold z trudem zatrzymuje rozpędzoną orkiestrę i zwraca spoconą twarz w kierunku krzeseł. Stamtąd z wyciągniętą przed siebie parą rozpacznie gestykulujących rąk wybiega nieduży szpakowaty pan i wśród przeokropnych grymasów twarzy zaczyna szczekać *(aboie)* do orkiestry:

— *Tra la la la la la la! La! La!!*...

I jeszcze raz i drugi i trzeci, z coraz rosnącą pasją:

— *La! La!! La!!!*...

„Profesor" potakuje spoconą głową, powtarzając „la la la! La! La!! La!!!"

Tymczasem, starszy szpakowaty pan, „odśpiewawszy" tych kilka taktów, wpada jak bomba przez most na scenę i z zajadłością zaczyna wszystkich po kolei korygować. Za tego gra całą scenę, za tamtą śpiewa, tu udaje pijanego, tam tańczy z baletnicami, przyczem krzyczy, macha rękami, wyczynia tysiąc i jeden grymasów! A wszystko to, w błyskawicznem tempie, nie trwa dłużej nad półtorej minuty... Potem przywołuje „oficera łącznikowego", swego wiernego rosjanina Władimira Sokołowa, wydaje krótką dyspozycję, i uspokojony, zupełnie niezmęczony, staje z boku przed rampą.

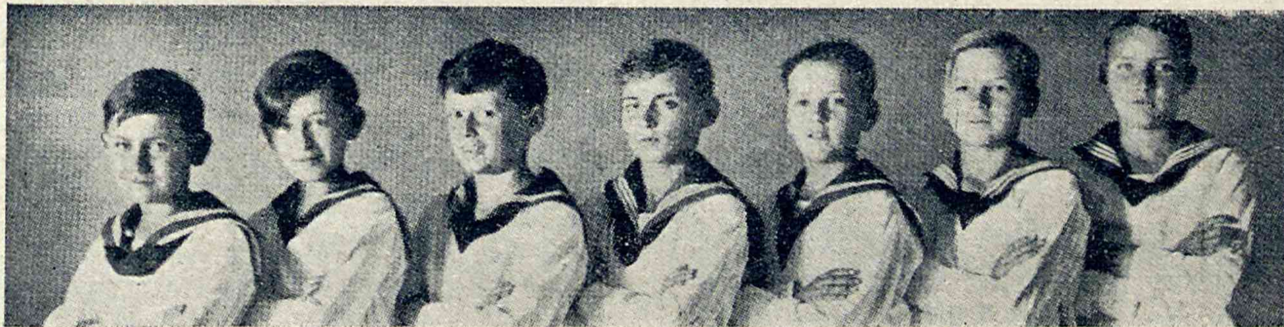
— Od początku! — komenderuje Sokołow.

Powtarzają. Wszystko idzie zupełnie inaczej. Nie do poznania...

Zrozpaczona przed chwilą twarz starszego pana promienieje zadowoleniem, raz po raz śmieje się na cały głos — jak dzieciak — z galijskiej werwy swoich francuskich aktorów...

Sukces niemiecko-czesko-rosyjsko-hiszpańsko-francuskiej premjery reinhardtowskiej był, jak wiemy, olbrzymi.

KRONIKA MUZYCZNA



(m. kl.) Słyszeliśmy w piątek w Filharmonji słynny wiedeński chór chłopięcy. Strona artystyczna produkcji stała na bardzo wysokim poziomie. Znać, że kieruje nią wytrawny i znakomity artysta p. Georg Gruber. Sam artyzm jednak nie wystarcza. Tak muzykalne frazowanie i bezwzględne panowanie techniczne nad zespołem 16-tu chłopców w wieku od 11 do 14 lat wymagają ogromnych zdolności pedagogicznych i organizacyjnych, zwłaszcza biorąc pod uwagę niezmiernie krótki okres — nie przekraczający 3 lat — szkolenia młodocianych śpiewaków.

Z punktu widzenia pedagogiki i techniki wyszkolenia chóralnego, rezultat jest wprost fenomenalny. Trudno sobie wystawić, do czego może doprowadzić dobra szkoła, muzykalność i inteligencja kierownika chóru.

Pragnęlibyśmy gorąco, aby i nasi kierownicy zespołów głosowych, przeważnie na tak niskim stojących poziomie, przejęli się metodami i pietyzmem muzycznym wiedeńskiego mistrza.

*

Poznańskie Towarzystwo Oratoryjne — zasłużony prezes dr. Leon Surzyński — opublikowało sprawozdanie z działalności swej w roku 1932/33.

Obok dawno istniejącej sekcji chóralnej utworzono cztery inne: orkiestralną, muzyki dawnej, współczesnej i szkolną. Koncertów i audycyj odbyto 17, wykonano dzieła wielkich mistrzów, a ze współczesnych: Szymanowskiego, Opieńskiego, Maliszewskiego, Hindemitha, Strawińskiego, Maciejewskiego. Kierownikiem artystycznym był p. Stanisław Wiechowicz.

*

W Bernie szwajcarskiem wystawiono bardzo uroczyście „Halkę". Opera Moniuszki przyjęta została bardzo gorąco zarówno przez publiczność, jak i przez krytykę. „Bund" pisze: „Szwajcarja nie posiada, niestety, własnej muzyki, własnego rytmu. Tembardziej więc uderza szwajcarską publiczność rytm narodowy „Halki", wspaniałe tańce polskie, szczególniej tańce góralskie".

*

P. Tadeusz Wroński, profesor Konserwatorjum w Detroit, zorganizował sezon popularnych przedstawień operowych.

*

Bronisław Huberman odznaczony został austrjackim krzyżem zasługi i krzyżem korony belgijskiej.

Prof. Konrad Neuger, naczelny dyrektor chóru opery lipskiej, a przedtem monachijskiej, zwolniony został ze swego stanowiska ze względu na polskie pochodzenie.

Prof. Neuger uchodził w Niemczech za najlepszego specjalistę — kierownika chórów operowych. Przenosi się on teraz na stałe do... Ameryki, dokąd został zaangażowany.

*

Ernest Lewicki, znany badacz Mozarta, odnalazł młodocianą kompozycję mistrza, napisaną przez niego w 11-ym roku życia. Jest to „Cavatina" w formie duetu na tenor i sopran do komedji p. t.: „Apollo i Hjacent", wystawionej w języku łacińskim na Uniwersytecie w Salzburgu w r. 1767. Temat tego utworu został przez kompozytora zużytkowany później w środkowej części symfonji F-dur.

*

Opera rzymska wystawi niebawem dwie nowe opery Respighi'ego: „La Fiamma i Reficea" oraz „Cecilia".

Kartka z pamiętnika

...myśl ta nie dawała mi spokoju, toteż gdy zauważyłam, że pani Teresa znów została otoczona przez kilku panów i flirtuje zawzięcie, wymknęłam się niepostrzeżenie do dalszych apartamentów. Pełna nieposkromionej ciekawości, otwarłam drzwi do sypialnego pokoju pani Teresy. Łagodne światło sączyło się z przepięknej alabastrowej ampli. Moc kwiatów i zieleni stanowiło tło, na którem fascynująca uroda pani Teresy musiała nabierać specjalnego wyrazu. Zbliżyłam się do nowoczesnej gotowalni. Czułam, że postępuję niewłaściwie, nie mogłam jednak oprzeć się pokusie przejrzenia środków kosmetycznych, które stosuje zawsze piękna pani Teresa.

Wzrok mój zatrzymał się na kasecie zamszowej, mieszczącej granatowy słoiczek. Był to „Acticrème" marki Antiba, krem hormonalny o sile 500 jednostek biologicznych w 1 gramie. Teraz zrozumiałam, czemu zawdzięcza pani Teresa swą śliczną, jędrną cerę. Przecież „Acticrème", zastępując lub potęgując działanie hormonów tkankowych skóry, zapobiega powstawaniu zmarszczek i wszelkich defektów cery. W myśli postanowiłam stale używać „Acticrème'u" i dyskretnie powróciłam do salonu.

ŚWIAT KSIĄŻKI

POLSCY PISARZE W ROSJI WCZORAJSZEJ I DZISIEJSZEJ

Do najciekawszych i najbogatszych pod względem ilościowym działów, na cieszącej się coraz większem zainteresowaniem wystawie „Książka polska zagranicą", zorganizowanej wysiłkiem i staraniem p. ministrowej Beckowej, należy dział przekładów rosyjskich z dwóch okresów — przedwojennego i sowieckiego. Długoletnie współżycie, mimo antagonizmów politycznych, z Rosją musiało z konieczności wywołać zainteresowanie się wzajemne literaturą, posiadającą dość ścisłe pokrewieństwa i duchowe i językowe.

Rosja wczorajsza i dzisiejsza to dwa odrębne światy o całkowicie różnych ukształtowaniach pojęć. Tem ciekawiej przedstawia się stosunek do książki i pisarza polskiego.

Najpoczytniejszymi naszymi pisarzami w Rosji carskiej byli Sienkiewicz, Orzeszkowa i Przybyszewski. Jest to zjawisko bardzo charakterystyczne, lecz łatwe do wytłomaczenia. Ogół czytających składał się z mieszczaństwa i inteligencji zbliżonej do sfer artystyczno-literackich. Upodobaniom pierwszych odpowiadał najbardziej Sienkiewicz lub Orzeszkowa, drudzy odnajdywali ulubionego pisarza w Przybyszewskim, z jego filozofją gehenny życia, posiadającej wybitnych przedstawicieli i w literaturze rosyjskiej. Zresztą pisarz ten był szczególnie blizki młodzieży rosyjskiej, przez wspólne wpływy twórców północy z Ibsenem, Strindbergiem na czele, przez Dehmla i Schlaafa aż do Nietschego i Altenberga.

Sporą poczytnością cieszyła się Konopnicka jako prozaistka, Daniłowski, Kraszewski, Niemojewski, Rejmont, pokrewna brutalnym realizmem Kuprinowi Zapolska, Żeromski i wreszcie poetyckie dramaty Żuławskiego z „Erosem i Psyche", „Ijolą", „Za cenę łez" na czele. Natomiast z początkiem XX w. osłabło zainteresowanie trójcą wielkich romantyków. Mickiewicz, Słowacki i Krasiński doczekali się zaledwie nielicznych przekładów, przykrojonych odpowiednio przez cenzurę. Ulubionym pisarzem był też Kazimierz Przerwa-Tetmajer, lecz tylko jako prozaik, czytano chętnie Sieroszewskiego i trzy potężne poematy Kasprowicza: „Na wzgórzu śmierci", „Dies irae", „Moja pieśń wieczorna", wreszcie... Klemensa Junoszę-Szaniawskiego.

W Rosji Sowieckiej stosunek do pisarza polskiego zmienił się zasadniczo. Zaniknęło zupełnie zainteresowanie powieścią mieszczańską i historyczną. W państwie przebudowy dotychczasowych form i religji pracy zabrakło miejsca na romantyzm. Z książki tłomaczonej jednak nie wyeliminowano zupełnie przedstawicieli tych kierunków, wybrano natomiast utwory, posiadające wyraźną ideologję socjalno-społeczną. „Janko muzykant" Sienkiewicza doczekał się już sześciu różnych wydań, przetłomaczono Orzeszkowej „Meira Ezofowicza" i „Gloria victis", z Przybyszewskiego wybrano „De profundis" i „Dzieci szatana", ponadto czytany jest Daniłowski z „Jaskółką" na czele. Nie znalazł oddźwięku u czytających w dzisiejszej Rosji Mickiewicz, Konopnicka, Zapolska, Słowacki (jedynie „Ojciec zadżumionych), Kasprowicz.

„Skalne Podhale" Tetmajera ukazało się już w pięciu wydaniach. Wzrosło zainteresowanie Żeromskim („Ludzie bezdomni", „Dzieje grzechu", „Przedwiośnie", „Uroda życia", „Popioły", „Syzyfowe prace", „Wierna rzeka"). Czytany jest Żuławski, nie jako poeta marzyciel, lecz poeta-zdobywca, autor natchnionej trylogji „Na srebrnym globie", jak również Reymont z „Chłopami" i „Ostatnim sejmem" na pierwszem miejscu. Rzecz bardzo charakterystyczna, że literatura sowiecka zainteresowała się pierwszym naszym dramatem i wprowadziła do swego dorobku przekładów Kochanowskiego „Odprawę posłów greckich".

Dużą poczytność zdobył pisarz w Rosji carskiej zupełnie, oficjalnie przynajmniej, nieznany — Andrzej Strug. Przetłomaczono niemal wszystkie jego powieści polityczne, jak „Historja jednego pocisku", „Ze wspomnień sympatyka", „Mogiła nieznanego żołnierza", „Ludzie podziemi", „Pokolenie Marka Świdy" i „Jutro". Z pisarzy młodszego pokolenia czytane są wszystkie utwory Brunona Jasieńskiego, „militarno-faszystowska" powieść Kadena-Bandrowskiego „Generał Barcz", oraz epos górnicze „Czarne skrzydła".

Tak się mniej więcej przedstawiają zasadnicze podobieństwa i różnice stosunku dwóch epok czytelnictwa w jednem społeczeństwie. Rozgrupowanie naszych autorów nasuwa bardzo ciekawe i charakterystyczne wnioski, mogące być ważkim przyczynkiem do wyjaśnienia współżycia pisarza ze społeczeństwem.

J. S. Wroczyński

„DUSZA W MROKU"

H. Daniel-Rops, powieściopisarz francuski, jest popierany bardzo przez prasę katolicką. Jego masywny utwór „Dusza w mroku" otrzymaliśmy właśnie w przekładzie polskim. Możemy sprawdzić więc, czy dytyramby reklamy prasowej pokrywają się z wrażeniem, jakie daje ten utwór.

„Dusza w mroku" jest powieścią dla szerokich mas. W czytelniach zapewne będzie miała duży obieg. Posiada solidnie rozbudowaną narrację, lecz środki pisarskie H. Daniel'sa-Ropsa nie dorównują świątobliwym tendencjom. Jest ciekawe, iż ten pisarz lubujący się w nastrojach religijnych równocześnie maluje w dość jaskrawych kolorach przeżycia erotyczne Jego bohater jest nawet pod tym względem wyjątkowo uposażonym młodzieńcem. Błażej Orlier miewa po kilka kochanek naraz, gorszą się nim panny i mężatki. Autor tłumaczy fakt ten urodą i uzdolnieniami. By pokazać „kruchość decyzyj ludzkich", stawia swego urodziwego młodzieńca w sytuacjach jaskrawych. Po wizycie w klasztorze, po rozmowach podniosłych i uduchowionych z przeorem van Vriesem odjeżdża pokrzepiony na duchu, lecz noc spędza w hotelu z rozwódką, dawną kochanką. Taki jest skutek zbyt pokrzepiających na duchu rozmów!

Powieść „Dusza w mrokach" będzie poszukiwana przez młodocianych czytelników. Akcja tego utworu odbywa się w Ljonie i okolicach, co znów może zaciekawić obyczajowością południowych prowincyj Francji. Niejasne są motywy, czemu Błażej Orlier dręczy Klarę, jedyną dziewczynę, którą, zdaje się, kocha. Nie jest on też „duszą w mroku"; jego zwątpienia intelektualne obracają się koło spraw dosyć nieskomplikowanych.

E. Cz.



Przy herbatce

Five o'clock'i to najmilsze i najintymniejsze zebrania towarzyskie, cieszące się stale powodzeniem u wytwornych pań. Krawcowe i modystki współzawodniczą między sobą w przygotowywaniu na te zebrania najelegantszych toalet i najpiękniejszych kapeluszy.

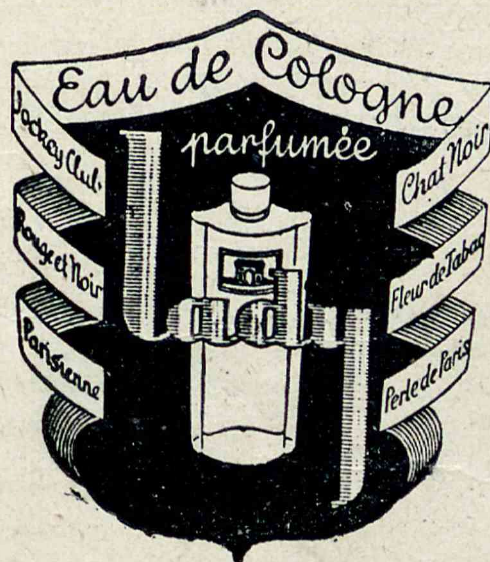
Wytworne panie, które bywają na kilku takich herbatkach w ciągu tygodnia, wiedzą, że użycie znanej wody kolońskiej Jockey Club podnosi ich urok, dodaje powabu oraz wdzięku właściwego kwiatom

Woda kolońska Jockey Club

zawdzięcza swą sławę subtelnemu zapachowi wydzielającemu się już nawet z jednej kropli.

Radzimy dziś jeszcze przekonać się!

Trwały zapach wody kolońskiej „Lady" łączy się z naturalnym zapachem skóry. Woda kolońska „Lady" nadaje każdej z pań indywidualny charakter tak pożądany i słusznie ceniony przez wytworne damy. Woda kolońska „Lady" podnosi wdzięk kobiecy.



Woda kolońska „Lady" tylko w oryginalnych flakonach jest do nabycia we wszystkich lepszych składach aptecznych i perfumerjach.

ŻĄDAJCIE BEZPŁATNYCH PRÓBEK.

Miasto jednego szewca

Jeśli kto zechce szukać miasteczka Zlin w słownikach geograficznych, encyklopedjach, czy na mapach, — straci dużo czasu i prawdopodobnie nic nie znajdzie. A przecież Zlin to potęga bodajże największa, najbardziej zaborcza, najbardziej ekspansywna w całej Europie. Od 10 lat z czechosłowackiego Zlina płynie obuwie, pokrywające 70% zapotrzebowania całego świata.

Jak wszystkie kraje na globie, Czechosłowacja trzeszczy w uściskach kryzysu. Z okien wagonu widać zamarłą Karwinę, Morawską Ostrawę, Bogumin, Witkowice. Bezrobocie, bieda. Nikt nie chce kupować czeskich szkieł, ani czeskich samochodów, maszyn, czy płócien.

Ale kupują czeskie buty.

W Zlinie niema bezrobocia. Ruchoma, szybka taśma nie ustaje ani na chwilę. Metalowemi rynnami z budynku do budynku, z hali do hali płyną — buty.

Dalekobieżne pociągi zatrzymują się w Otrokowicach. Z okien patrzą podróżni na kilka nowoczesnych, prostych i szarych bloków. Każdy konduktor, każde dziecko usłużnie objaśni:

— To fabryka pończoch Baty.

Bo Bata robi i pończochy, i skarpetki, i pastę do obuwia i opony rowerowe czy samochodowe, i maszyny szewckie. Tomasz Bata myślał o uruchomieniu fabryki samochodów. Wozy miały być tańsze i praktyczniejsze od Fordów.

Z Otrokowic do Zlina prowadzi bocznica. Tuż obok toru rozłożyła się pyszna, jak wszystkie w Czechosłowacji, szosa. Pociąg ze starych, wybrakowanych wagonów toczy się wolno.

Jedna osada, druga.

Małe, czyste przesadnie domki i co krok afisze Baty: obuwie męskie, damskie, dziecięce. Przy każdej parze zdaleka rzuca się w oczy cena, — nieprawdopodobnie niska, bezczelnie kusząca.

Wreszcie Zlin. W zielonej kotlinie dużo ogromnych, czerwonych budynków. Stacyjka jest mała. Nikt prawie nie korzysta z pociągu osobowego. Chyba robotnicy rano i o zmierzchu. Zastępuje go auto, rower, motocykl. Ani w Zlinie, ani w okolicy od lat nikt nie widział — konia.



J. A. Bata, obecny szef zakładów ś. p. Tomasza Baty

Kilkanaście kroków za stacją — niby czeskie Hollywood. Wyrastają przed oczyma jakieś niebosiężne płaszczyzny. Olbrzymie, kilkunastu-piętrowe. Mrowia okien, żadnych gzymsów, sztukateryj. Prosto, surowo.

Pod nogami żwirowane jezdnie, gładkie płyty chodników. Szeroko, przestronnie, a mimo to co chwila denerwujące sygnały trąbek samochodowych. Za szarym parkanem sterczą czerwone budynki. To fabryka.

Na parkanach—sentencje: „Nasz klijent — nasz pan", „Szanuj czas", „Praca wzbogaca".

Olbrzymy jedenasto-piętrowe to: dom towarowy, jadłodajnia robotnicza Baty, hotel, kawiarnia, restauracja, dancing Baty.

W hotelu jest ponad 500 numerów jedno i dwupokojowych, przy każdym łazienka. Wszystkie meble stalowe. Pościel, dywany, firanki — produkcja Baty. Żarówki amerykańskie Mazda, ale zato mydło w łazience — Baty.

Na 11-em piętrze jest taras z kawiarnią. Wieczorem gra tu zupełnie dobry zespół jazzbandowy. To szewcy od Baty. Na olbrzymim parkiecie tańczy zwarty, o twarzach potem połyskujących tłum, — robotnicy od Baty. Siedzą przy stolikach kawiarni. Siedzą na dole w restauracji. Szewcy od Baty jedzą tłuste sznycle, „brambory" tłuszczem oblewane. Zapijają to — wodą zwykłą albo z sokiem. Niema ani piwa, ani wódki. Na terenie fabryki nie wolno nawet palić.

Wszystko jest tu stosunkowo tanie. Prawie za grosze. Żeby każdy szewc mógł sobie pozwolić. Rezultat — pieniądze zarobione za pracę w fabryce szewc niesie do kawiarni, restauracji czy dancingu, należącego do Baty.

Bata wybudował kino. Olbrzymi, płaski blok z 3 tysiącami miejsc. Stadjony, pływalnie, szkoły. Nieskończona ilość nowoczesnych, rozsądnie rozplanowanych, przestronnych, pełnych słońca budynków. Żelazo-beton, albo czerwona cegła. We wszystkich sterczą megafony.

Jeśli w centrali jest telefon do któregokolwiek z urzędników, telefonistka odnajdzie go z łatwością, chociażby był na drugim końcu miasta, — przez megafon.

Naczelny prokurent zakładów Baty, po śmierci Tomasza, jakgdyby król olbrzymiej fabryki, dr. Cipera, mówi mi:

— Nasze obuwie nosi już 70% ludności całego świata, chcemy doprowadzić do — 90%...



Zlin. Park autobusów fabrycznych, któremi przyjeżdżają do pracy robotnicy Baty



Fragment zakładów fabrycznych w Zlinie

— Dlaczego nie do 100?

— Bo 10% ludzi na kuli ziemskiej chodzi boso i nieprędko dadzą namówić się na obucie nóg.

— Co zarabiają robotnicy?

— Tyleż samo co i urzędnicy, od najniższych do najwyższych.

— Jakto?

— Nasze zakłady podzielone są na szereg oddziałów. Każdy oddział egzystuje samodzielnie i robi z innym oddziałem tranzakcje. Robotnicy mają jednakowe pensje, a uzupełniają je procenty, zależne od stopnia produktywności.

Bata zarówno dla nich, jak i dla swych urzędników wybudował olbrzymią, kilka tysięcy sztuk domków liczącą kolonję. Domki jedno-rodzinne i dwu. Jednakowe, czerwone. Elektryczność, łazienki z zimną i gorącą wodą. Stalowe meble. Ogródek.

Zarówno w fabryce, jak i w biurach nie widać starych ludzi. Wiek przeciętny to — 30—35 lat. Na najpoważniejszych stanowiskach, najbardziej odpowiedzialnych tkwią ludzie 25—28-letni. Pracują z jakimś fanatycznym uporem, z zapałem, który chwilami wydaje się wręcz chorobliwy. Pracują dziś w Zlinie, żeby już jutro otrzymać dyspozycję wyjazdu na samodzielną placówkę do — Sydney czy Batawji, Vancouver czy Kalkuty.

Bata jest wszędzie.

W jasnych, rozdygotanych pędem ruchomej, jakże strasznej dla robotnika taśmy, powstaje obuwie dla wszystkich. Ciężkie buty dla ludzi północy, pantofelki dla ekspedjentek Lizbony czy Berlina, płócienne pantofle z gumowemi podeszwami lubią bardzo w Marokko i na Jawie. Żółte, dziurkowane półbuciki chętnie noszą eleganci Damaszku lub Bejrutu. Twarde obuwie robocze sprzedaje Bata w polskich mieścinach kresowych i w sklepach dalekiego Mandżu-go. Kupuje je chłop-Poleszuk i chłop-Chińczyk, jeśli mu oczywiście starczy grosza na obuwie Baty.

Do małego miasteczka Zlin zbiegają się listy i depesze z całego świata. Ktoś późną nocą rozmawia z Chicago. Zlin ma własne kable, własną radjostację; na jednej z największych wyniosłości za miastem Bata zbudował olbrzymią latarnię dla lotników. Światło tej latarni widać w promieniu 150 klm.

Praca tętni.

Po pracy robotnicy wychodząc z fabryki robią sobie — pedicure... Zanim znajdą się za fabryczną bramą, czyściciel Baty doprowadzi ich obuwie do niepokalanego połysku. Jednym z tych czyścicieli jest 18-letni syn naczelnego prokurenta zakładów — Cipera.

Tomasz Bata junior, syn zmarłego szewca, ma 4 samochody, mieszka z matką w ślicznej willi, rano jednym z czterech samochodów jedzie do fabryki. Zatrzymuje się przed zegarem kontrolnym, potem idzie do hali warsztatów mechanicznych i — robi buty. Ma dwadzieścia lat, pasjami lubi sporty i podobno jest wcale tęgim szewcem.

Jest on żywym przykładem dla t. zw. „młodych mężów", która to organizacja jest oczkiem w głowie całego Zlina, a przedewszystkiem jego obecnego władcy, brata zmarłego Jana Baty. „Młodzi mężowie", to chłopcy wybrani z najróżniejszych krajów świata przez kierowników filij i przysłani do Zlina na kształcenie się. Z tych swoistych „komsomolców" rekrutują się najlepsi pracownicy zakładów Baty. Wszyscy abstynenci, nie palą, nie wyobrażają sobie, czy może istnieć kobieta poza — małżeństwem...

Zlin nie zna wolnych związków. Kobieta, która raz się poślizgnęła, jest w sytuacji stokroć gorszej, niż reglamentowana prostytutka. Pracy w fabryce nie znajdzie, a wpływy Baty, który już z reguły jest wybierany na burmistrza, są tak wielkie, że trzeba z miasta uciekać, jeśli nie chce się umrzeć z głodu.

Zato matka za każdego noworodka dostaje od Baty 1,000 koron i



Wyjście robotników po pracy z fabryki Baty

miejsce dla dziecka w doskonale urządzonym żłobku. Pieniądze musi złożyć na konto dziecka.

Do Zlina przyjeżdża stale wielu cudzoziemców, ludzi związanych z Batą jedynie interesami. Co robić z czasem po załatwieniu wszystkich konferencyj, po podpisaniu umów, etc.?

Krętemi serpentynami szosy mkną eleganckie taksówki zlińskie, niczem nie różniące się od wozów prywatnych, lub samochody urzędników do — Luchaczowic, niedoścignionego wzoru dla Krynicy. W Luchaczowicach można się napić i dobrze zabawić w eleganckich dancingach. W Luchaczowicach jest wesoło. Nad ranem można wrócić do miasta niewolników ruchomej taśmy — do Zlina.

Tempo pracy w fabryce jest wręcz warjackie. Prędzej, prędzej, ani jednego zbytecznego ruchu, ani chwili odpoczynku, w zakładach Baty pracują wszakże sami młodzi ludzie...

Bata ma własne szpitale, własną Kasę Chorych, własny cmentarz, na którym leży Tomasz Bata. Bata nie ma związków; partje na terenie jego zakładów są bezsilne.

Komuniści mają w starym Zlinie swój sklep „Rudy Prvodev". W dniu pierwszym maja, szumnie obchodzonego w Moskwie i w Zlinie, gdzie Bata urządza „święto pracy", w udekorowanej witrynie sklepowej „Rudego Prvodeva" stoi popiersie — Tomasza Baty...

Pierwszomajowa uroczystość w interpretacji zlińskich komunistów trwa 15 minut i gromadzi maksimum 200 ludzi. Tymczasem na trybunie, przez mikrofon następca króla Butów — Jan Bata, dr. Cipera i inni wodzowie olbrzymiego przedsiębiorstwa, mówią tysiącznym rzeszom o pracy i dobrobycie, o 300,000 par obuwia, które zakłady Baty powinny dziennie produkować...

W drukarskich zakładach Baty trzy razy w tygodniu drukuje się duże pismo perjodyczne, od czasu do czasu — książki z aforyzmami i złotemi myślami króla butów.

Jeśli wszystkie te sentencje Tomasza Baty są istotnie tworem jego umysłu, trudno ustalić, czy był on lepszym szewcem czy lepszym — myślicielem.

Włodzimierz Popławski

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. P. JAN WIŚNIEWSKI

Wydawnictwo nasze poniosło w tych dniach bolesną stratę: zmarł 28 z. m. wieloletni współpracownik „Świata" w dziale reklamowym, ś. p. Jan Wiśniewski.

Urodzony w 1892 roku w Warszawie — po ukończeniu szkoły średniej poświęcił się karjerze handlowej. Studjuje w Wyższej Szkole Handlowej, poczem obejmuje stanowisko administratora w „Lekarzu Wojskowym", skąd około 1921 roku przechodzi do „Świata". Tutaj prowadzi dział reklamy, w którym pracuje z zapałem, zjednywując sobie uznanie nietylko kierowników pisma, lecz i szerokiej swej klijenteli.



Ś. p. Jan Wiśniewski

Zdolny i sumienny w pracy, uczynny i koleżeński — ś. p. Jan Wiśniewski pozostawił po sobie jaknajlepszą pamięć i najszczerszy żal. Przedwczesną i nagłą śmierć tego zawsze pogodnego i dobrego pracownika, zacnego człowieka i obywatela dotkliwie odczuli ci wszyscy, którzy mieli możność zetknąć się z Janem Wiśniewskim.

Zmarły osierocił żonę i córeczkę, którym na tem miejscu składamy wyrazy serdecznego współczucia.

HERMAN GINSBERG

Dnia 16 listopada r. b. zmarł w Wiedniu b. p. inż. Herman Ginsberg.

Urodzony 28 kwietnia 1868 r. w Częstochowie, przeniósł się, po ukończeniu progimnazjum miejscowego, do warszawskiego gimnazjum realnego. Następnie uczęszczał przez 2 lata do wyższej szkoły handlowej im. Kronenberga w Warszawie. Po wyjściu z tej uczelni wstąpił na uniwersytet w Zurychu, gdzie studjował chemję techniczną, kończąc studja w roku 1889. Po powrocie do kraju objął po śmierci ojca, jako jedyny syn, zajmowane przez niego stanowisko w fabryce papieru i młynach w Częstochowie. Były to pierwsze zakłady przemysłowe w tem mieście. W r. 1896 założył wspólnie z krewnemi i przyjaciółmi przędzalnię i tkalnię juty „Warta" w Częstochowie. Dzięki energji i pracy Zmarłego, placówka ta, jedna z pierwszych w Częstochowie, prowadzona kapitałami wyłącznie polskiemi, przetrwała zawieruchę wojenną i oparła się zwycięsko gwałtom okupantów oraz trudnościom powojennym. Herman Ginsberg prowadził „Wartę" przez lat 37. Chęć znalezienia szerszego pola do pracy spowodowała przeniesienie się Zmarłego do Warszawy w roku 1905. Powołuje on do życia łącznie z innemi wybitnemi przemysłowcami i finansistami polskiemi Towarzystwo Zakładów Chemicznych „Strem", Tomaszowską Fabrykę Sztucznego Jedwabiu, Towarzystwo Przemysłowe „Kabel"; wchodzi od chwili założenia do Rady Banku Zachodniego, jest członkiem Zarządu Tow. „Lilpop, Rau i Loewenstein", Cukrowni i Rafinerji „Irena" i szeregu innych.



Tak rozległa praca zawodowa nie wyczerpywała jednakże całej działalności Hermana Ginsberga. Zarówno w Częstochowie jak i w Warszawie, szczególnie podczas wojny, stoi On bądź na czele wielu instytucji społecznych i dobroczynnych, bądź też czynnie w nich pracuje.

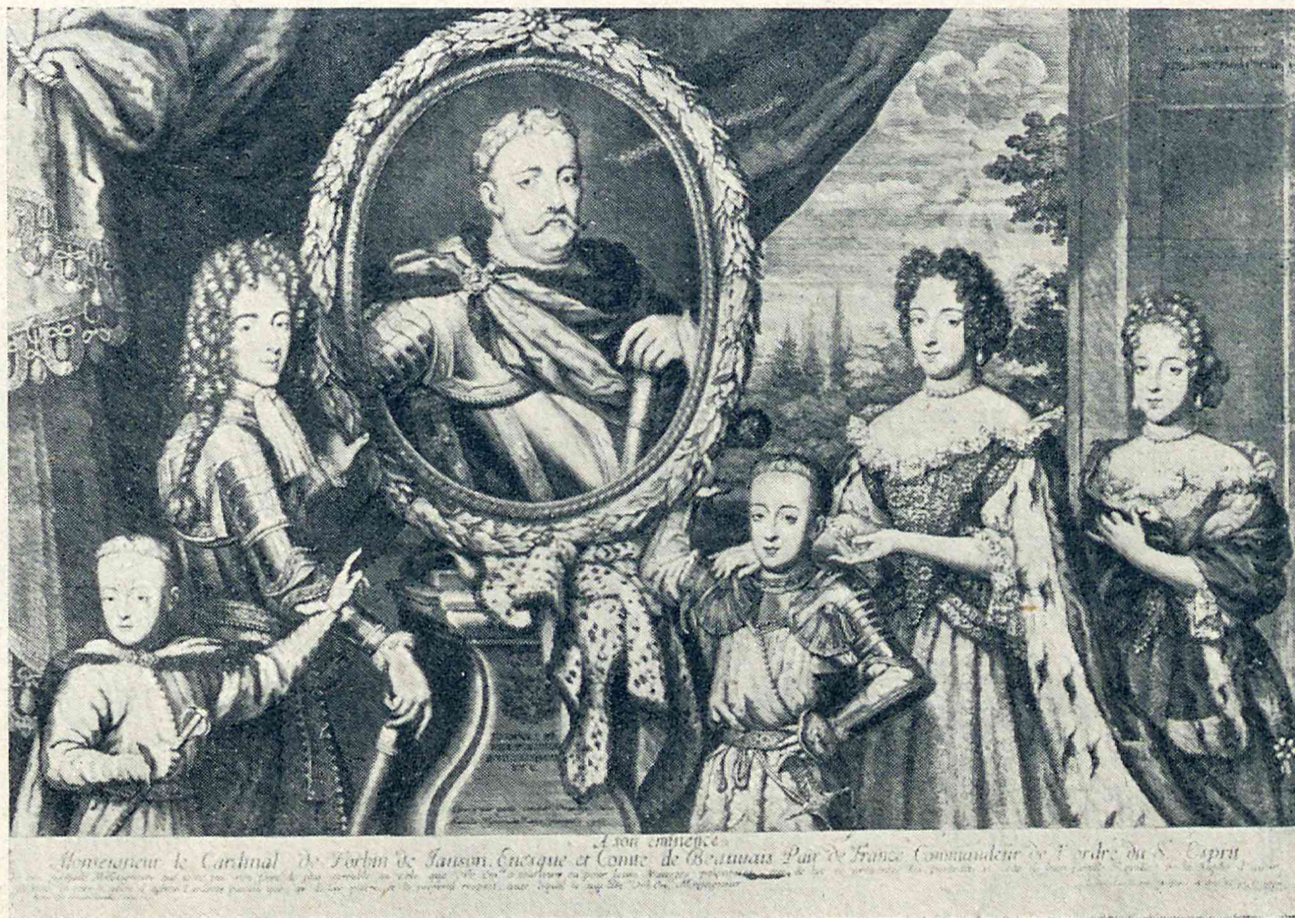
Obdarzony nieprzeciętną inteligencją, łączący w sobie rozmach z rozsądkiem i ostrożnością, był Herman Ginsberg człowiekiem skromnym uczynnym i dostępnym dla każdego. To też ujmował On sobie wszystkich, którzy się z nim stykali, a śmierć Jego wywołała szczery żal, szczególnie wśród licznych rzesz pracowników i robotników, dla których był zawsze troskliwym Opiekunem.

Batory i Sobieski w świetle muzealnych pamiątek

W świetle zabytków, zgromadzonych w Muzeum Narodowem, stanęły dwie postacie królewskie: Stefana Batorego i Jana Sobieskiego.

Nie malują one dokładnie epoki, nie dają szerokiego rozglądu na minione czasy chwały narodowej, ale zbliżają ubiegłe czasy do człowieka współczesnego i pozwalają przeżyć kilka chwil z cieniami dawnej przeszłości.

Mało tych zabytków, są dość jednostronne, ograniczające się w lwiej części do pamiątek rycerskich i historji oręża polskiego, ale dziwić się wypada, że w tak krótkim stosunkowo czasie, bo w ciągu kilkunastu lat naszej państwowości, zdołano tyle zebrać i tak je uporządkować. Takie szybkie tempo i zabiegliwość mógł spowodować tylko wielki entuzjazm kierownictwa Muzeum.



Jeden z rzadkich sztychów, przedstawiający całą rodzinę króla Jana III, został wystawiony na jubileuszowym pokazie zbiorów z czasów Batorego i Sobieskiego

A w Polsce te trudności gromadzenia skarbów muzealnych są znacznie większe, niż w każdym innym kraju. Polacy nie są nagół narodem zbieraczy, w tym sensie, jak Niemcy, Francuzi, lub nasi pobratymcy Czesi. Olbrzymią część naszych zabytków kulturalnych rozgrabiono, inne zniszczały skutkiem wypadków dziejowych lub niedbalstwa, a najczęściej nieuctwa, polskie możne rody niebardzo zabiegały o splendor posiadania rodzinnych muzeów, a wandalizm modernizowania starych siedzib był już w wieku XVIII tak powszechny, iż Ignacy Krasicki poświęcił mu jedną z najznakomitszych satyr: „Modna żona".

Jeśli pod młotem mody rozsypał się w gruzy przepiękny, stary Kraków, siedziba artystów, estetów, profesorów uniwersytetu i innych intelektualistów, dlaczegóż pospolity szlachetka, posiadający piękne pamiątki przeszłości, nie miał posłuchać głosu tak wybitnego poety i humanisty, jakim był Kochanowski i nie postąpić wedle jego rady:

„Skujmy talerze na talary, skujmy,
A żołnierzowi pieniądze gotujmy". —

Niestety — szlachetnie urodzonych Dobrzyńskich, którzy przeznaczali niepotrzebną im broń na rożna do kuchni, a na szyszakach nasadzali kury, było w Polsce aż nadto wielu.

Dlatego też o niezbyt zresztą odległych od nas czasach wiemy bardzo mało i prawie żadnych nie posiadamy zabytków, podczas gdy inne, sąsiadujące z nami narody mają ich do przesytu.

Tem się tłumaczy, że tak skąpo pamiątek posiadamy po okresie panowania Batorego, jakkolwiek Polska w owych latach stała u szczytu wieku złotego wydała znakomitych pisarzy, uczonych i wielką ilość humanizujących estetów. Literatura zapisała nam, że świetne były ówczesne rezydencje panów i biskupów polskich, że zamieszkiwali je ludzie wielkiej kultury, szkoleni na włoskich uniwersytetach i w podróżach po całej Europie.



Świeżo ukończone skrzydło Muzeum Narodowego w Warszawie przy Alei 3-go Maja, przeznaczone na dział wojskowy Fot. Ryś

Ani śladu nie pozostało z tych dawnych świetności, ledwie trochę ksiąg się błąka, świadczących o dobrym smaku wydawców, różnorodności zainteresowań polskiego społeczeństwa, podsycanych przez samego króla i jego kanclerza, Jana Zamoyskiego, twórcę akademji w Zamościu.

O wiele bogaciej natomiast prezentuje się wiek Sobieskiego.

Król Jan III-ci w popularnej wersji uchodzi za znakomitego wodza-Sarmatę, bohatera z pod Wiednia i wielu innych zwycięskich walk.

Natomiast zbiory Muzeum Narodowego okazują i inną stronę jego zamiłowań.

Wprawdzie przykład dworu Wersalskiego oddziaływał już wtedy na całą Europę i nie ominął Polski, ale smak artystyczny króla Jana III-go był wcale niepośledni.

Lubił wykwint i przepych, ale w dobrym stylu, lubował się nietylko w bogatych rzędach końskich i ozdobnej broni, ale żywo interesowały go sztuki piękne i artyści. Notuje to historja, a zbiory w Muzeum Narodowem udowadniają wysoką kulturę artystyczną dworu „króla Sobka", ongiś starosty jaworowskiego, tańcującego zamaszyście z kowalową. Z szczególnem staraniem zebrane są w Muzeum Narodowem portrety królewskie i pamiątki, dotyczące Odsieczy wiedeńskiej. Imponująca jest literatura zagraniczna, omawiająca ocalenie Wiednia.

W wersji ówczesnych pisarzy cudzoziemskich urósł „ukoronowany Sarmata" do najwspanialszych postaci świata chrześcijańskiego, który ocalił Europę przed azjatyckim zalewem.

Gniewa to Niemców, ale tej sławy odebrać mu nie mogą.

W.

SPRAWA O JAJA NA TWARDO

(Noweletka amerykańska)

Do restauracji „Pod twardem jajkiem" w Chicago, przy ul. Waszyngtona 777, wszedł pewien człowiek, którego z twarzy możnaby wziąć za miljardera dolarowego, gdyby jego ubranie nie zdradzało, że nie ma 10 centów w kieszeni.

Nieznajomy zwrócił się do gospodarza:

Gospodarz nawet nie drgnął.

Wtedy człowiek powtórzył głośno:

— Nie jadłem już dwa dni.

Goście podnieśli głowy, opuścili na chwilę widelce i pàtrzyli ciekawie na przybysza i gospodarza. Wówczas gospodarz wyjął z pod klosza dwa ugotowane jaja, dał je żebrakowi i wypchnął na ulicę.

— To już dziesiąty dzisiaj — powiedział na swe usprawiedliwienie. Goście uwierzyli albo też nie. W każdym razie gospodarz uchodził od tego dnia za dobrego człowieka.

Minęło sześć lat.

Dnia 6 maja 1932 r. wszedł pewien człowiek do restauracji przy ulicy Waszyngtona 777 w Chicago. Właścicielem jej był ten sam gospodarz z przed sześciu lat, z tą tylko różnicą, iż nie usługiwał sam, lecz stał za kasą.

Człowiek, który wszedł i którego wspaniałe auto stało przed restauracją, chciał się widzieć z gospodarzem:

— Do usług.

— Pan jest gospodarzem?

— Tak.

— Pan mi przed sześciu laty podarował dwa jajka z tego bufetu. Obudził pan moją energję. Dziś jestem bogatym człowiekiem. Przyszedłem, by panu zapłacić za jaja.

I położył na stole banknot studolarowy.

— Wystarczy? — zapytał.

— Przyjmę tylko to, co mi się będzie należało — odrzekł restaurator, chowając banknot do kieszeni. — Tę sumę biorę chwilowo, jako zadatek. Pan pozwoli do mej kancelarji.

Przybysz zdziwiony poszedł za nim.

Usiedli.

— Więc panu pożyczyłem przed sześciu laty dwa jajka?

— Tak jest, potwierdził obcy. — Dwa jaja kosztowały wtedy licząc drogo 1/4 dolara; gdy dodamy wszystkie odsetki i procenty od procentów, to najwyżej jeden dolar. Ofiarowuję panu 100 razy więcej.

— W ten sposób nie można liczyć; ja patrzę na to zupełnie inaczej. Dwa jaja wylęgłe dają dwie kury. Każda kura składa rocznie minimum sto jaj, każde jajo daje znowu kurę tak, iż z końcem drugiego roku mamy dwieście kur. Te 200 kur składa w trzecim roku 20.000 jaj, a więc 20 tysięcy kur, w czwartym roku będzie 2 miljony kur, w piątym 200 miljonów kur, w szóstym 20 miljardów kur. Mogę panu zrobić ustępstwo i policzyć, iż z połowy jaj wylęgły się koguty i za te nic nie policzę. Pozostaje w każdym bądź razie 10 miljonów kur. Licząc sztukę po 1½ dolara, da to nam 15 miljardów dolarów. Tytułem kosztów karmienia opuszczę panu trzecią część, dzisiaj więc jest mi pan winien 10 miljardów dolarów.

Przybysz, nie rzekłszy ani słowa, wyszedł, wsiadł do swego Chryslera i odjechał. Ale zrobił rachunek bez gospodarza.

Gospodarz wniósł skargę do sądu o dwa jaja z odsetkami w podanej wysokości 10 miljardów dolarów.

Sędziowie byli wobec ścisłego obliczenia bezradni. Choć uważali skargę za niesłychaną, nie mogli znaleźć przepisu prawnego przeciw matematycznej logice skargi.

W ostatnim dniu sprawy miały być złożone końcowe wywody stron.

— Czy wszyscy wezwani są obecni? — zapytał sędzia.

— Mego obrońcy jeszcze niema — rzekł oskarżony.

Czekano kwadrans, czekano pół godziny.

— Otwieram rozprawę — powiedział wreszcie przewodniczący, nie doczekawszy się adwokata.

W tej chwili wpada na salę zdyszany obrońca.

— Przepraszam Wysoki Sąd, ale jestem właścicielem fermy za miastem i musiałem tam bawić.

— To jeszcze nie powód do opóźnienia.

— Przepraszam raz jeszcze, ale u mnie są teraz zasiewy. Musiałem przypilnować dokładnego przypieczenia ziarna.

— Panie obrońco, od kiedy to piecze się ziarno przeznaczone pod zasiewy? — wykrzyknął zirytowany sędzia.

— Od dnia, kiedy wylęgają się kury z gotowanych jaj! — odrzekł z ukłonem adwokat.

Skarga restauratora została odrzucona.

R. R.



Dziwny instrument ten mikrofon! Mozolnie i precyzyjnie opracowane słuchowiska wychodzą często blado i nieinteresująco, gdy tymczasem dorywczy reportaż robi furorę. Tak było z ostatniem sprawozdaniem z Berlina. Nawet ci zacofani, którzy sport footbalowy uważają za niepotrzebne „kopanie się po nogach", słuchali transmisji z meczu „Polska — Niemcy" z zapartym oddechem. Nie sądzę, by grały tu rolę pobudki patryjotyczne czy szowinizm narodowy; emocjonalność słuchowiska była chyba wyłączną zasługą p. kpt. Mielecha, który zapałem swoim i głębią wrażeń przeżywanych na stadjonie w Berlinie potrafił zarazić słuchający ogół. Poddaliśmy się wszyscy tej sugestji, przeżywając w krytycznych momentach gry troski i nadzieje kpt. Mielecha. Było to miłe słuchowisko, mimo że nieznaczna porażka polskiej reprezentacji dotknęła nas bardzo.

Transmisja koncertu dzieci wiedeńskich z Filharmonji była pełna uroku. Milutkie i świetnie zgrane głosiki niepotrzebnie zastąpiono w pewnym momencie płytami — tłumacząc tę zmianę aradjofonicznością djalogów niemieckich. Troska ta wydaje się zbyt daleko posunięta, wysłuchujemy bowiem tylu rozmówek esperanckich, bułgarskich, angielskich, w przedziwnych czasem wykonaniach różnych panów, że śpiewny szczebiot wiedeńskich dziesięciolatków — byłby nam stokroć milszy.

Koncert muzyki bethowenowskiej z Budapesztu bardzo dobry, transmisja czysta i wyraźna.

W muzyce lekkiej zespół jazzowy p. Wilkosza wyróżnia się znacznie, w porównaniu z banalnymi muzykami kawiarnianymi.

W dziale feljetonów aktualnych bardzo dobry i ciekawy był odczyt p. red. Poraja, który omówił reportaż Ottmara o Sowietach.

Wiele i dobrze mówiono o książkach z okazji tygodnia książki. Szczególnie ciekawem ujęciem odznaczał się odczyt o książkach dla dzieci w okresie ostatnich dwudziestu lat. Bardzo interesujący był



ELNA GISTET,
święci obecnie tryumfy w operetce „Yacht miłości", transmitowanej ostatnio przez radjo z okazji 50-tego jubileuszowego przedstawienia



W Anglji podziw wzbudza siedem urodziwych cór Mr. Fryderyka Croxon'a z Northolt, uprawiających wyższą szkołę jazdy. Najstarsza panna liczy 20 lat, najmłodsza zaledwie 6

także feljeton p. Henzla p. t. „W kraju hiszpańskich basków".

W następnym tygodniu wartoby posłuchać:

10.XII. Poranek Muzyczny z Filharmonji pod dyr. Bronisława Szulca i Juljusz Wolfson — fort., utwory E. Griega. „Beczka Niezgody". (Kwadrans literacki). Piosenki Adolfa Dymszy

11.XII. „Beethoven i jego dwie czarodziejki". (Feljeton muzyczny). Feljeton Kornela Makuszyńskiego.

12.XII. Feljeton aktualny. Nowela Jerzego Kossowskiego. (Kwadrans literacki).

13.XII. Duety wokalne w wykonaniu K. Norskiej i Cecylji Izygrym. Recital fortepianowy Aleksandra Wielhorskiego. „Dwa nabytki beletrystyki" — wygł. Cezary Jellenta. (Feljeton literacki).

14.XII. IX-ty koncert szkolny z Filharmonji. Orkiestra pod dyr. Kaz. Wiłkomirskiego, Helena Lipowska (śpiew) i Marja Wiłkomirska (akomp.). W programie muzyka klasyczna i polska. Odczyt z cyklu „Polska Współczesna".

15.XII. Koncert kameralny M. Neuteich — wiol. i J. Kalecki (fort.). Arje i pieśni w wyk. Janiny Tisserant. Odczyt p. t. „Nieznany ojciec naszej ziemi". „Książki, które się podobają" Stanisław Dzikowski. (Feljeton literacki).

16.XII. IV-ty koncert z cyklu „Muzyka słowiańska". Leśmian i Staff. Recytacje. (Kwadrans poetycki). Koncert Chopinowski w wyk. Mieczysława Münza.

Jelaud.

KULT CZECHÓW DLA T. G. MASARYKA

Prezydent Rzeczypospolitej czecho-słowackiej T. G. Masaryk, cieszy się wielką popularnością i czcią wśród swoich rodaków. Nieustannie ukazują się o nim nowe publikacje. Analizuje się jego dzieła, komentuje jego życie. Ukazała się właśnie księga zbiorowa pt. „Sbornik prednasek o T. G. Masorykovi", wszechstronnie ujmująca osiągnięte rezultaty jego dociekań naukowych, jak i działań politycznych i społecznych. Na książkę tą złożyły się pióra świetnych czeskich uczonych, publicystów i literatów, jak J. Kral, J. B. Kozak, Iiżi Kozak, Jar. Bidlo, Mil. Paulova, Ant. Stefanek.

Duże zaciekawienie wywołała książka Z. Nejedly'ego pod prostym tytułem: T. G. Masaryk.

Czesi uważają bowiem swego prezydenta za moralnego wodza Narodu i ostoję państwa.

Jubileuszowy numer „Przeglądu Księgarskiego"

Z okazji 25-lecia „Związku Księgarzy Polskich" ukazał się jubileuszowy numer „Przeglądu Księgarskiego" w zwiększonej objętości i w pięknej szacie graficznej.

Na bogatą treść składają się artykuły: E. Szelążka, Aleksandra Brücknera, Wł. Łozińskiego, dr. Mozołowskiej, dr. Gottlieba A. Chocieszyńskiego, J. Czarneckiego i dr. Maliniaka. Prawdziwą ozdobą jest piękny wiersz Romana Kołonieckiego p. t. „Pochwała książki". Całokształt publikacji ilustruje dokładnie historję związku, jego poczynania i zamierzenia na przyszłość. Na część ilustracyjną składają się portret P. Prezydenta Rzeczypospolitej, oraz podobizny zasłużonych działaczy tak potrzebnej organizacji, jaką jest „Związek Księgarzy Polskich".

Nowy film polski „Zamarłe echo"





Niebawem w jednem z kin warszawskich ukaże się nowy film polski, wytwórni „Arluxfilm", w wykonaniu naszych artystów z Krystyną Ankwicz na czele. Na zdjęciach p. Ankwicz i Stan. Sieczka, oraz Bronisław Orwicz w świetnym epizodzie starego górala

MECZ POLSKA–NIEMCY W BERLINIE



Drużyna polska na boisku berlińskim



Drużyna niemiecka wita gości - przeciwników



Publiczność na meczu przy 8 stopniach mrozu Fot. Keystone

Mecz polsko-niemiecki, rozegrany w ubiegłą niedzielę w Berlinie, był niewątpliwie doniosłem zdarzeniem o podwójnem znaczeniu, sportowem i politycznem.

Poraz pierwszy zetknęła się drużyna reprezentacyjna Polski, która zdobyła już sobie zaszczytną opinję w piłkarstwie Wschodu i Północy Europy, z drużyną Niemiec, które uchodzą w świecie piłki nożnej za jedno z przodujących państw, przynajmniej jeżeli chodzi o „piłkarstwo amatorskie".

Przez długie lata stosunki polityczne stawały na przeszkodzie zmierzeniu się sił piłkarskich obu sąsiadów. Gdzie mierzą się siły polityczne, gdzie ciągle mówi się o możliwości otwartego konfliktu międzypaństwowego — niema miejsca na bezkrwawe, dżentelmeńskie spotkanie sportowe.

Ostatnio stosunki polityczne uległy naprawie. Niemcom zależy na dobrych stosunkach z państwem Polskiem. Zależy im na tem, aby zbliżenie nastąpiło nietylko przy zielonym stole dyplomatycznych narad. Stąd — zaproszenie polskiej drużyny piłkarskiej do Berlina, zaproszenie, którego przyjęcie było gorąco zalecane przez nasz urząd zagranicznych spraw.

Jakgdyby w poczuciu dokonywanego czynu politycznego, obie strony grały w Berlinie z wyjątkową lojalnością, galanterją, dżentelmenerją, dając z siebie największy wysiłek sportowy.

Siły obu stron były równe i gra była równa. W pierwszej połowie nacierali Niemcy, w drugiej Polacy, którzy nie wyzyskali kilku dość łatwych sytuacyj podbramkowych. W ostatniej minucie szczęście i przypadek sprzyjały Niemcom: zdobyli bramkę, której można było uniknąć.

Mecz skończył się formalnem zwycięstwem Niemców, ale zarówno 50 tys. tłum widzów, jak i prasa niemiecka przyznały jednomyślnie, że drużyna polska zupełnie dorównała niemieckiej.

Spotkanie berlińskie pozostawiło po sobie jaknajlepsze wrażenie.

j. s.

REKLAMA JEST DUSZĄ HANDLU

Nasza przyjaciółka w Jugosławji



P. DOBRILA GLAVINIĆ — KSIĘŻNA MILOJKOVIĆ,

naczelna redaktorka pisma białogrodzkiego „Żenski Svet", wybitna propagatorka ruchu kobiecego, jest wielką przyjaciółką Polaków, prowadząc intensywną pracę nad zbliżeniem obu narodów słowiańskich, zwłaszcza na terenie Ligi Polsko-Jugosłowiańskiej w Białogrodzie

Zdrowie jest największym skarbem

We wszystkich państwach poświęca się obecnie przy wychowaniu młodzieży wiele uwagi sportowi i ćwiczeniom cielesnym. Osiąga ona przez to nietylko sprawność i siłę fizyczną lecz staje się także odporną na wiele chorób. Inaczej się rzecz przedstawia, gdy idzie o ludzi zmuszonych przez rodzaj swej pracy do przebywania w zamkniętych lokalach biur, szkół i t. d. Wytwarza się u nich nadwrażliwość na zmiany pogody i temperaturę, czyniąc ich skłonnymi do częstych przeziębień, mogących się czasem stać wstępem do poważnych chorób infekcyjnych. W tym wypadku dobrze jest mieć pod ręką środek, któryby niszczył zarazki rozwijające się w ustach i gardle i przenikające stamtąd do ustroju. Wybitne działanie odkażające posiadają pastylki Panflaviny. Jedna do dwóch pastylek, zażywanych co godzinę, niszczą bakterje znajdujące się w ustach i gardle.

Samosłuchawki



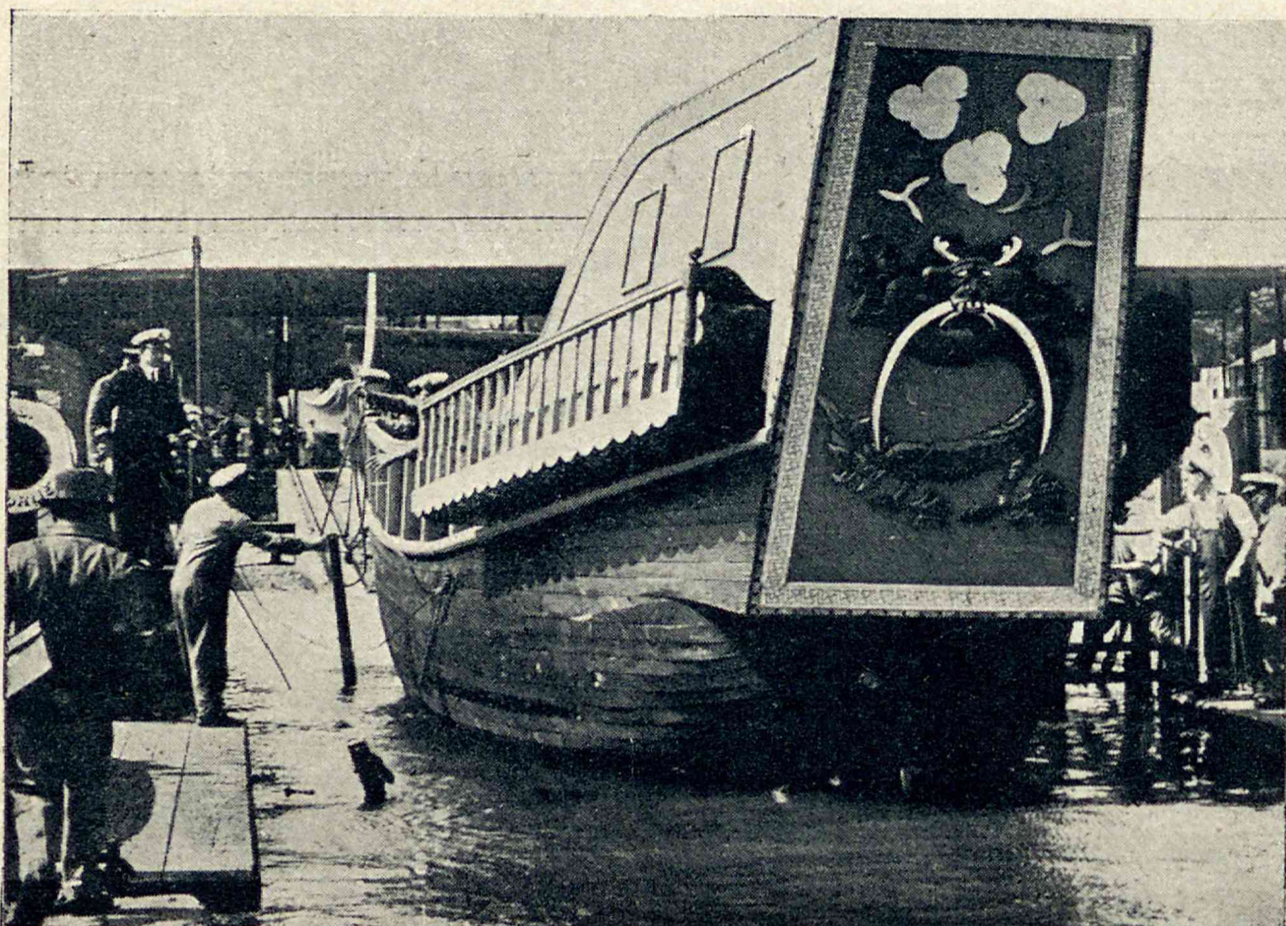
Przyrząd, za pomocą którego śpiewaczka, występująca przed mikrofonem, słyszy swój głos tak samo, jak radjosłuchacze



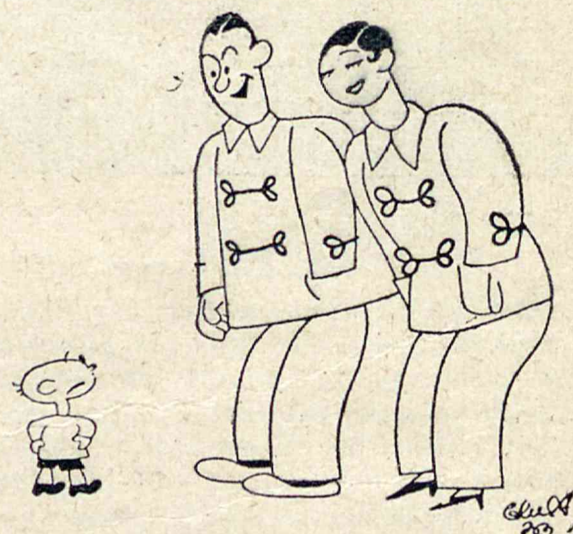
— Patrz, co tu kurzu! Jak ty sprzątasz?

— Ten kurz, proszę pani, ma conajmniej miesiąc, a ja nie jestem u pani nawet dwóch tygodni.

ARESZTOWANY OKRĘT



Do Portsmouth sprowadzono pojmany na Oceanie Spokojnym okręt piratów chińskich

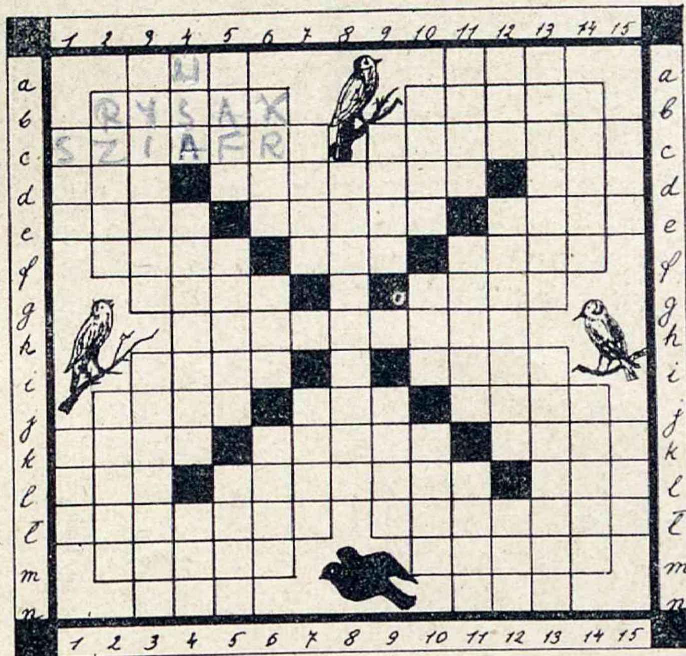


POMIESZANIE PŁCI

Dzieciak: — Chciałbym wiedzieć, które z was jest moim ojcem.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 178 (280) KRZYŻÓWKA
Ułożył Zenon Brenek.
(Za rozwiązanie 10 punktów).



Wyrazy poziome: a) 3. Bieg. a) 11. Wagon, tramwaj. b) 2. Rasa konia rosyjskiego. b) 10. Słynny rewolucjonista francuski. c) 1. Ranny ubior kobiecy, negliż. c) 9. Mówca ze stanu włościańskiego na sejme szwedzkim. d) 1. Nadzorca w Turcji. d) 5. Jednobrzmiące jednocześnie. d) 13. Wyspa duńska na Bałtyku. c) 1. Dolina górska. c) 6. Widowisko muzyczne. c) 12. Imię męskie. f) 2. Sznur. f) 7. Zdrob. imię żeńskie. f) 11. Trucizna, którą mieszkańcy archip. indyj. napawają swe strzały. g) 3. Przypływ n. p. morza. g) 10. Nazwa kilku rzek w Anglji i Szkocji. h) 4. Odmiana miki. i) 3. Zdrob. imię żeńskie. i) 10. Kraina ciemności. j) 2. Moneta starożytna. j) 7. Wykrzyknik w gwarze lud. j) 11. Choroba nerwowa, której ulegają nałogowi palacze haszyszu. k) 1. Rak policzka. k) 6. Starożytne miasto w Messenji. k) 12. Imię męskie biblijne. l) 1. Imię tureckie. l) 5. Podział bezpośredni jądra komórkowego. l) 13. Rzeka w Abisynji płd. ł. 1. Robiący szaty. ł) 9. Znana marka radjoodbiorników. m) 2. Żołnierz angielski w Indjach pochodzący z tubylców. m) 10. Wyspa przy ujściu rzeki Odry. n) 3. Część całego dzieła. n) 11. Worek torba.

Znaczenie wyrazów pionowych: 1) c. Sztylet. 1) k.Południe. 2) b. Monopol prawem zastrzeżony państwu. 2) b. Rasa psa. 3) a. Ozdoba architektoniczna. 3) i. Towarzystwo akcyjne. 4) a. Skrót Stan. Am. Płn. 4) e. Barwnik. 4) ł. Wulkan na wyspie Mindanao (Filipiny). 5) a. Irański bóg sztuki. 5) f. Imię żeńskie. 5) l. Drobina chemiczna. 6) b. Ulubiona rozrywka. 6) g. Jedna z wysp Nowych Hebrydów. 6) k. Port wodny w południowych Chinach. 7) c. Gatunek drzewa. 7) j Kraina górzysta w Arabji. 8) d. Minerał, zbliżony do grupy biotytu. 9) c. Pięcioksiąg. 9) j. Jedna z rzek tworząca Szyłkę w repr. Dalekiego Wschodu (Syberja). 10) b. Rzeka w Gujanie francuskiej. 10) g. Piwo angielskie. 10) k. Syn Jakóba. 11) a. Ubytek towaru przez wyschnięcie. 11) f. Kraina w Kongo belgijskim. 11) e. Część półwyspu Chalcydyjskiego (Grecja). 12) a. Miejsce kąpielowe i siedziba sportu zimowego w Szwecji. 12) e.Promień koła wpisanego w wielokąt foremny. 12) ł. Skrzydło w jęz. martwym. 13) a. Miesiąc wielkiego postu u mahometan. 13) i. Gatunek grzyba. 14) b. Rodzaj dużego balkonu. 14) j. Część domu. 15) c. Okręg w staroż. Egipcie. 15) k. Część twarzy.

Rozwiązanie zadań

Nr. 169 (271). ZADANIE LITERACKIE. 1. Szopka. 2. Magnat. 3. Danton. 4. Blizna. 5. Cienie. 6. Lambro. 7. Dzieci. 8. Zesta. 9. Śmierć. 10. Elegje. 11. Sachem. 12. Mazepa. 13. Niemen. 14. Wampir. — „Ogniem i mieczem".

TRAFNE ROZWIĄZANIE NADESŁALI:

Nr. 169 (271). (Za rozwiązanie 10 punktów). N. K. Kozłowski. Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Jawna Kowalska. Fr. Łukaszewicz (Wilno). Z. Tietz. Romuald Żak. Dorota Herbstmanówna. Kazimierz Lilpop. Marja Strubel. Zenon Brenek. Fr. Wiśniewski. L. Glaszmidt. M. Sowiński (Wilno). Jan Popławski. Zofja Suchecka (Radom). Władysław Stock (Pińsk). Józef Małecki. Baśka Żulińska (Częstochowa). Jan Rudziński (Kalisz). Helena Millerowa (Kraków). Ksawery Faliński. J. Zbyszewski (Kraków). Ant. Solecka. Wiktor Rawicz. Tadeusz Pomianowski. Feliks Siedlecki (Poznań). Gertruda Wolska. Jan Kowalski. Henryk Ostrowski. Tadeusz Ritter. Zofja Górska. Bolesław Nowak. Jerzy Halski. Wiktor Sawicki. Tadeusz Noskowski. Cecylja Lewandowska. Stanisław Tański. Karol Waldenberg (Łódź). Janina Rowińska. Ola Borman. Henryk Walewski (Lwów).

NAGRODY OTRZYMALI:

Leon Glaszmidt (Warszawa) — książkę. Franciszek Łukaszewicz (Wilno) — książkę.



Najmilszym podarunkiem na gwiazdkę jest książka

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., kwart. 15.— zł., z odnoszeniem do domu mies. 5.50 zł., kwart. 16.50 zł., na prowincji mies. 6.— zł., kwart. 18.— zł. Zagranicą mies. 8.— zł., kwart. 24.— zł., półr. 48.— zł., rocznie 96.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch", POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa

P